

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III

Warszawa, 19 października 1947 r.

Nr 42 (99)

TREŚĆ NUMERU: K. Iłakowiczówna — Poezje, A. Wołowski — Z perspektywy Akropolu, A. J. Kamiński — Jedność na drogach okrężnych, J. Łoski — Trochę o Anglikach, Ch. Zieliński — Videant consules, Ak. — Abstrakcjonizm i naturalizm w sztuce, Tydzień kulturalny, S. Borkiewicz — O kulturę prowincji, R. Tomczyk — Do proboszcza z Trześniowa, S. Kisielewski — Zbrodnia w Dzielnicy Północnej, S. Podlewski — Pokłosie „Przemarszu przez piekło“, J. Siwkowska — Obiadowe recenzje

Jan Dobraczyński

POWIEŚĆ KATOLICKA

Tak się śmiesznie składa, że właśnie na marginesie recenzji z moich książek powstała dyskusja na temat t. zw. literatury katolickiej. Początkowo miałem nawet skrupuły czy wypada mi wobec tego wziąć w niej udział. Myślę jednak, że skoro nie mam zamiaru absorbować Czytelnika swymi książkami, wolno mi powiedzieć, co sądzę o temacie wypowiedzi dwóch tegich i niebanalnych publicystów, jakimi są Ksawery Pruszyński i Stefan Kisielewski.

Pruszyński („Odrodzenie“, nr. 26) postawił tezę, będącą niewątpliwym truizmem, że pisarz katolicki musi być dobrym pisarzem. Aczkolwiek powiedzenie to pachnie banałem, wcale nim nie jest. Bo — niestety — w kołach t. zw. „znawców“ literatury katolickiej pokutują rozmaite terminy t. zw. „pobożnej prozy“, „początkowej lektury“, „pożytecznej książki“ itp. — terminy, dające się sprzeczności do jednego: aby się tylko w książce działo, „jak każe Duch Boży“ — to już powieść sama się złoży. Otóż wcale nie! Najpiękniejszy, najpobożniejszy temat nie stworzy dzieła sztuki. Nie wystarczy, aby Duch Święty patronował życiu bohaterów książki. Musi patronować pracy samego pisarza, musi na niego zstąpić w formie talentu. Do prowadzenia wojny, jak powiedział Napoleon — trzeba pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy. Do napisania książki potrzeba talentu, talentu, talentu — a oprócz tego wyteżonej pracy. Ale przede wszystkim talentu.

Ma swoje racje Pruszyński, że dobre uczucie i chęci nie tworzą jeszcze dobrej książki. Dobre chęci w życiu przemieniają się, niestety, najczęściej w złe uczynki. A Gide twierdzi, że na dobrych uczuciach nie zrobiono nigdy dobrej literatury. To już jest niewątpliwie przesada, ale fakt pozostaje faktem, że uczucia i chęci nie tworzą życia. A literatura musi być obrazem życia, tak czy inaczej stylizowanego, tak czy inaczej przełamane w subiektywnym ujęciu autora, ale tym niemniej życiem. I dlatego autor musi to życie znać.

Tylko, że znać życie nie oznacza koniecznie „przeżywania wszystkiego“. Zbyt wiele wymagałoby się od autora powieści kryminalnej, gdyby się chciało, aby „dla sprawy“ był także mordercą! Św. Augustyn znał dobrze życie, którego wstrząsającym obrazem są jego „Wyznania“. Ale psychologia człowieka w dziełach Św. Teresy, czy Katarzyny

zdumiewa swą rzeczywistością i dogłębnością. Najtajniejsze odruchy ludzkiej „psyche“ w traktaciu, noszącym tytuł „Dzieje Duszy“, napisane przez zamkniętą w klasztorze od 15 roku życia zakonnicę, wydają się rewelacją. Mauriac twierdzi, że człowiek nawet zamknięty od dzieciństwa w więzieniu zdola z materiału uformowanego w sobie stworzyć dzieło sztuki. Tworzywo znajduje się w nas i tylko w nas. Obraz życia, ujrany w kilku jego fragmentach, uzupełnia się i cakuje. Nie trzeba przeżyć wielkiej przygody, aby móc jej obraz w sobie skonstruować, wystarczy zwykła miłość, by na podstawie jej znajomości stworzyć Beatrycze. May nie podróżował, a przecież napisał kolorowe egzotykiem książki, którymi rozczytują się chłopcy. Prus nie widział Egiptu, a przecież jego „Faraon“, mimo tytułu anachronizmów, jest wstrząsającą wizją tamtego świata. Każda zresztą powieść historyczna jest taką wizją. Wymóg przeżywania wszystkiego przez pisarza jest absurdem. To nie znaczy zresztą, aby pisarz miał się swi-

domie w obserwacji życia ograniczać. Wręcz odwrotnie. Pisarz musi mieć oczy i uszy szeroko otwarte, musi widzieć jak najwięcej i musi słyszeć jak najwięcej. Talent powieściopisarza to nie tylko talent pisania. To talent widzenia i słyszenia, talent rozumienia spraw, tych nawet, a może nawet tych przede wszystkim, które się dokonują pod powierzchnią zewnętrzną zjawisk. Pisarz musi być człowiekiem, który patrzy i nasłuchuje, ale który wie, że dusz ludzkich nie odkryje mu żaden Asmodeusz. Cassian postawił tezę, że tylko Bóg zna nasze myśli; szatan ich nie zna. Człowiek tak, że nie zna wnętrza swoich bliźnich. Freudowski „kompleks Edypa“ czy adlerowski „kompleks niższości“ czy kettschmerowska apologia są tylko projekcją na szych założeniach w dziedzinie życia psychicznego, lub zbiorem „z gruba ciasnanych“ obserwacji. To co pisarz widzi i słyszy — musi przetrwać w sobie. Musi wejść w siebie. Powieść współczesna odbywa ewolucję — pisze o tym we wrześnieowej „Twórczości“ K. Wyka — od po-

wieści opisowej do powieści psychologicznej. Trudno się tylko zgodzić z tym utalentowanym krytykiem, że powieść, odszedłszy od opisu, odchodzi także od dramatyczności, coraz mniej więc znaczy „przeżycie“ zewnętrzne, coraz więcej „przeżycie“ wewnętrzne. Chateaubriand, którego nam przypomina Pruszyński, pisał powieści „w ramionach kochanek“. Dlatego to trawa jego opisu ma miękkość ich włosów. Nie chodzi jednak o grzech popełniony czynem. W głębi serca człowieka mieści się obok źródła niepojętej czystości prawdziwe kłębowisko żądź — kłębowisko żmij. Powieść Mauriaca nie jest wyrwaniem się z ramion tej jednej kochanki, ale niekończącą się ucieczką przed nieodstępującym, pisarzami Eumenidami. Pruszyński zestawia Chateaubrianda — tego, który uległ, z Mauriakim — z tym, który nie ulega, ale boleśnie walczy. Ma jednak rację O. Woroniecki, że w walce Mauriaca z pożądaniami nie ma nawet założenia możności zwycięstwa. Jest to walka beznadziejna i dlatego tak tragiczna. Powiada

Pascal (cytuje z pamięci), że ludzie dzielą się na tych, którzy szukają i znajdują, którzy nie szukają i nie znajdują, wreszcie na tych, którzy szukają i nie znajdują. Ci ostatni są nieszczęśliwi — i oni to tworzą galerię nauriacowskich postaci. A przecież istnieje wezwanie: „szukajcie, a znajdziecie, pukajcie, a będzie wam otworzono“...

Źródła zła nie znajdują się poza człowiekiem, ale w człowieku. Są to „pożądliwość ciała“ i „pożądliwość oczu“ i „pycha żywota“ (Jan 2,16) — zmysły, chciwość i pożądanie władzy. Nie trzeba wędrować zbyt daleko po świecie, by odnaleźć to, co się w człowieku opiera Bogu. Źródła Prawdy są także na ziemi. „Trzej są, którzy świadectwo dają na ziemi: duch, woda i krew...“ (I Jan 5, 8). Nie trzeba wędrować na pustynię, bo odkryć, że z każdej skały biją fontanny łaski.

Pisarz nie potrzebuje wszystkiego „przeżywać czynem“, by poznać blaski i nędze doli ludzkiej. Ale czy już sama znajomość tych dwóch działających w duszy ludzkiej motorów łaski i pożądania stwarza powieść katolicką? Wydaje mi się, że wytwarzamy najmniepotrzebniejszy zamęt pojęć, obejmując terminem powieści katolickiej każdą powieść, w której zawiera się implicite konflikt łaski i grzechu. Ten konflikt jest rzeczywistością życia, realizmem. Mówienie o realizmie powieści, która nie ma bodaj najprymitywniej sformułowanych barier zła i dobra, jest nadużyciem terminu. Im autor głębiej sięga w duszę ludzką, im ujmuje rzecz szczerzej, tym nieuchronniej musi dotknąć świata Łaski. Pamiętam w 1936 r., omawiając twórczość Malraux, stwierdziłem, że pisarz, który dotyka tak śmiało wewnętrznych słabości człowieka musi trafić także na źródło jego siły. Już tragiczny węzeł „Drogi Królewskiej“ rozcina modlitwa młodego konkwistadora: „Panie, wspomóż nas w godzinę śmierci“. Malraux musiał stanąć na rozdrożu i na tym rozdrożu stanął. Zbyt często wyobrażamy sobie nawrócenie jako grom z jasnego nieba, odmieniający natychmiast uczucia ludzkie. Szawel spadł z konia i powstał Paweł. Augustyn posłyszał głos dziecka — i stał się świętym Augustynem. Claudel poszedł do kościoła — i wrócił zeń autorem „La messe la-bas“. Autor bliźnierezych „Pamiętników Pana Boga“ spojrzal na idące do pierwszej komunii św. swe córki — i stał się autorem „Dzie-

Wytyczne

„SENSUS CATHOLICUS“

Słowo „katolik“ i „katolicki“, jak zresztą ogromna większość wszystkich wyrazów, używane bywa w publicystyce w różnych co do zakresu i treści znaczeniach. Jako określenie, na przykład, charakteru organu prasowego mówić może bądź co bądź o związku pisma z Hierarchią Kościelną, bądź o jego zawartości ideowej. Czasem zaś i o jednym i o drugim.

Powstaje problem „warunku dostatecznego“ dla posłużenia się tym zaszczytnym terminem, który właśnie dlatego, że jest zaszczytny, nie może być nadużywany. Wydaje się, że „warunek konieczny i dostateczny“ spełniony jest wówczas, gdy zamiary, czyny i wypowiedzi przepojone są tym, co określić można jako „sensus catholicus“, gdy z drugiej strony nie ma nic co z duchem katolickim się nie godzi. Toteż istotnym kryterium oceny powinien być ów właśnie sprawdzian, gdyż wszelka dowolność lub lekkomyślność w posługiwaniu się słowem podstawowym sprowadzić może jedynie tragiczny zamęt.

W ostatnich przemówieniach do wiernych, Ojciec Święty, Pius XII, niejednokrotnie przypomniał katolikom trudne i wszechstronne ich zadania w świecie współczesnym, w którym tak niełatwo jest służyć idei pokoju w powszechnej sprawiedliwości, gdyż świat wspomina o suwerennym prawie Bożym, prawie dobra i miłości. Mówił także jako o jednej z największych klęsk naszych czasów, o załamaniu się uczciwości i zaufania w życiu społecznym.

Katolik, nie tylko z metryki, lecz i z ducha, ma podstawowy obowiązek wskazania Ojca Świętego spełniać. Są one wielkie i narzucają tak trudne wymagania, że konieczne staje się skupić wszystkie siły a unikać wszystkiego, co osłabia wartość obozu katolickiego. Niech w życiu osobistym każdego, niech w życiu publicznym środowisk katolickich, zapanuje ów „sensus catholicus“, ów Duch Boży, który dowodzi, że spełniony zostaje „warunek dostateczny“, gdy używa się słowa „katolik“ i „katolicki“.

Dm 191052

Z poezji Kazimierzy Jłakowiczówny

Skąd tutaj śpiewać

Skąd tutaj śpiewać i o czym?
Chyba, że się zaoblęcę,
że za perlistą zasłonką z wilgoci
sen wymarzę o purpurze i złocie.
Szafirowych skrzydeł migotanie iszelest
pachnące zielę, durzącą zielę,
Struny z księżycą na wodzie znajomej...
I może jakieś światła i domy:
płkota na nich od snu, a ściany i drzwi
czerwone od krwi.

Za nicią słów

Bożego winogrodu kiść,
cieniulka, zerwana wić...
...I liść...
I — trzeba iść...
Jeszcześmy nie dość czysti,
więc strzedz się nienawiści,
Tak słowo, nie po nici,
sens z rymów wiotkich schwyci
ku zgubie lub korzyści,
aż wszystko nam się zisici:
najpiękniejsza z drzewa wić,
Bożego daru kiść...
...lekki, kojący liść...
Ach daj się już raz... Ach przyjąć...

Białość

Tylko tyle białości,
co w tym kwiecie.
Reszta — żeby powiedzieć najprościej
— śmiecie.
Piatki drobnusienkie, zębate:
światłość nad niemi lata...
A ja schodziłam pół świata,
przekochałam, prześniłam siebie
tylko poto, żeby w tej kolebie,
śród zdziebełek na pochyłości,
znaleźć tyle białości,
co w tym kwiecie.

List z Kolozsvaru

Od słuchania obcych bied, od obcego dokoła klekotu,
oderwał mię daleki list. Długo leżał na stole potem.
Tutaj nikt nie miałby łez, nikt by nie czytał z przejęciem...
Módlcie się za Pawła Morstina, który umarł na okręcie.

Było tylko kilka słów zamazanych dziwnym sposobem;
nie pisano — co i jak: zabity, czy z jakiej choroby.

„Pani pewno dawno wiadomo...”. Wszak już druga rocznica będzie!
... Módlcie się za Pawła Morstina, który umarł na okręcie.

Czyście znał go, czy też nie — modlicie się wszak wieczorami? —
Tutaj człowiek osobno brnie zagubiony między górami.

Co wam szkodzi kilka słów wieczorną porą poświęcić...

Módlcie się za Pawła Morstina, który umarł na okręcie.

Kolozsvár 1941.

jów Chrystusa”. Tak nie jest. Grom na drodze do Damaszku zapala się dla tych tylko, którzy już wobec niekonsekwencji niewiary stanęli. To nie uczucia zostały odmienione, uczucia zmieniają się najwolniej. To dotychczasowy pogląd na rzeczywistość został zakwestionowany. Pisarz jest tu narzędziem czułym; jego pogląd na życie nie wypływa, nie powinien wypływać, z nastawień, ale z czystej empirii. Do tego jednak, aby być bezwzględnie konsekwentnym wobec prawdy, trzeba być bezwzględnie szczerym w jej poszukiwaniu. Przypominają mi się ostatnie słowa umierającego Chestertona, gdy pisał: fanatyk — to człowiek „który chciał dotrzymać słowa; tego wielkiego słowa, które każdy człowiek dał Bogu, zanim jego życie się zaczęło...”

Wydaje mi się więc rzeczą nie słuszną nazywanie powieścią katolicką powieści, która wprowadza nas w świat rzeczywistości Prawdy i grzechu. Najniepotrzebniej w świecie stosujemy metodę ograniczenia spraw katolickich, zamiast ograniczać sprawy niekatolickie. Nierealistyczną i niekatolicką jest powieść, zamykająca życie w ramach zdarzeń powierzchownych, ślizgająca się po meandrach chorej (Proust) lub naiwnej płytkiej psychiki. Nowele Iwaszkiewicza „Młyn nad Utratą”, „Stara Cegielnia”, „Młyn nad Lutynią” tkwią właściwie w atmosferze katolickiego realizmu (dodają katolickiego tylko dla wyjaśnienia raz jeszcze o co mi chodzi; realizm jednak jest dla mnie tylko jeden: ten, który afirmuje prawdę Łaski i grzechu). To nie zmienia sprawy, że nowele włoskie tegoż autora czy „Matka Joanna od Aniołów” są utworami niekatolickimi, rozgrywają się one w świecie niepełnym, jednostronnie oświetlonym. (Akrobację tę wyjaśnił mi kiedyś Iwaszkiewicz, gdy na pytanie, czy uważa siebie za pisarza katolickiego, odpowiedział: „Nie uważam się za pisarza katolickiego i nigdy się nie uważałem. Jeżeli ktoś się doszukuje w mojej twórczości katolicyzmu, znajdzie w niej zarówno dowody za, jak i przeciw. O ile jestem katolikiem, to dzieje się to malgré moi...”). Powieści katolickiego pisarza Zawieyskiego właściwie trudno nazwać katolickimi; tak nieokreśloną jest ich atmosfera. Odwrotnie wspaniała powieść f. Werila niekatolicka „Das Lied von Bernadetta” zdumiewa wczuciem się w światopogląd katolicki. Notuję to, by wykazać, jak trudną jest w gruncie rzeczy klasyfikacja na utwory katolickie i niekatolickie. Czy „Różaniec z Granatów” Pruszyńskiego jest nowelą katolicką czy niekatolicką? A „Lotna” Żukrowskiego? Pamiętam pewną przegadaną noc z przyjaciелеm z lat dziecińczych ś. p. ks. Tadeuszem Pudrem na temat katolicyzmu „Martina Edena” Londona (jeżeli się naturalnie pamięta motto!). Kisielewski w swym artykule („Tygodnik Powszechny” nr. 130) twierdzi, że do utworów utrzymanych „w duchu moralno-ideowym katolicyzmu” można zaliczyć „Thibaultów” Rogera Martina du Gard, „dużą część” twórczości Conrada...

Otóż błędem jest ograniczanie terminem powieść katolicka i lekliwie skape nim szafowanie. Odwrotnie: należało by określić co nie jest powieścią katolicką, i dla tych utworów stworzyć właściwą szufladkę. Z zastrzeżeniem, że nie ma, przynajmniej moim zdaniem, utworów „z punktu widzenia... moralności katolickiej nijakich”. Krótko mówiąc: uważam, że istnieje w literaturze typ powieści niekatolickiej, tzn. takiej, która atakuje, podważa lub

bodaj zlekceważa świat Łaski i grzechu. Poza tym typem wszystko jest powieścią katolicką, przy tym użycie przymiotnika wydaje mi się zbyteczne.

Dlaczego? Dlatego, aby móc go zachować dla specjalnego typu powieści. Zwracam uwagę na różnicę, jaka zachodzi np. między nowelą Żukrowskiego „Kantata” czy „Pod Śniegiem” a, dajmy na to, nowelą „Przebieg” czy „Czysta Robota”. Pomiędzy „Rozdrożem Miłości” Zawieyskiego a „Nocą Huberta”. Pomiędzy „Krzyżowcami” Z. Kossak a „Krzyżakami” Sienkiewicza. Pomiędzy „Desesperé” L. Bloy, a „Les Anges noirs” Mauriaka, „Chusta Weroniki” G. von le Fort, a „Bez Dogmatu” Sienkiewicza... Celowo zestawiam tu ze sobą utwory, które zwykło się określać mianem książek katolickich. Mimo to istnieje między nimi duża różnica. Bo problem np. „Bez Dogmatu” nie jest właściwie problemem katolickim. To problem każdego życia, które musi się skończyć k a t a s t r o f a, gdy nie ma w nim dogmatu. Załamanie się człowieka niewierzącego może być w dalszej fazie apologetyki chrystianizmu; w pierwszej jednak jest to poprostu dramatem kogoś, czyj światopogląd zbankrutował. Problem katolicki istnieje zawsze wewnątrz katolicyzmu a nie poza nim. Zetknięcie się wiary z niewiarą, dogmatu ze światopoglądem anarchicznym, świata Łaski i grzechu ze światem tylko grzechu tworzy zwykły codzienny konflikt życia. Nazwałbym go konfliktem realizmu z subiektywizmem, uniwersalizmem z partykularizmem. Mniejsza zresztą o nazwanie. Prowadzę do czego innego: do ograniczenia terminu powieść katolicka wyłącznie do powieści o problematyce wewnętrzno-katolickiej.

Jak to ma wyglądać? Po prostu. „Bez Dogmatu” nie jest powieścią katolicką w tym zwężonym pojęciu, ponieważ przeciwstawia wiarę niewierze. Ale problem „odrzuconego posłuszeństwa”, wstrząsający konflikt „Chusty Weroniki”, — uczyni z powieści powieść katolicką. W „Les Anges Noirs” Mauriac przedstawi „dzieje grzechu” — daje im tylko inne zakończenie — psychologicznie zresztą nie przekonujące. Urywa doprowadziwszy bohatera do portu wiary. Bloy w swym wspaniałym „Desespere” przedstawia wewnętrzny dramat wierzącego. W „Krzyżowcach” mamy obraz słabości obrońców sprawy Krzyża.

Naiwnością lub oportunistycznym byłoby sądzić, że życie katolickie nie posiada wewnętrznych konfliktów. Wspaniale wypowiedział to Claudel „Po cóż mówić o oporach, które trzeba przezwyciężać, o złej woli, którą trzeba ograniczyć, o tępotcie, którą trzeba oświecić, kiedy Robotnik w samym swym dziele napotyka na tyle przeciwności?” W katolicyzmie spotyka się także hipokryzję i zakłamanie, żyje w nim Faryzeusz i Taryfię. Nie wystarczy mnożyć prozelitów, a potem obciążać ich formalnymi obowiązkami wiary. Nie wystarczy chrzczyć, trzeba z kolei spowiadać i rozgrzeszać, karcąc i napominając, aby wiara w Pawła lub Apolla nie wyparła wiary w Jezusa Chrystusa. Problem katolicki — to problem oczyszczenia wiary. Problem świętości! Cóż to bowiem jest świętość? Nie więcej, jak tylko konsekwentny, nieskażony katolicyzm. Lecz samo przynależenie do Kościoła nie robi świętych. Już napisany w I wieku „Psałterz” Hermesa przeciwstawia się temu enkratyzmowi. Święci nie wyrastają poza Kościół. Ale i w nim muszą wyrosnąć.

Wydaje mi się więc, że jeśli już mamy mówić o powieści katolickiej, to ten termin powinniśmy za chować wyłącznie dla powieści o takiej wewnętrznej problematyce.

Nie znaczy to wcale, aby pisarzem katolickim był tylko ten, kto taką powieść pisze. Przecież literaturą katolicką jest wszystko, czego jej nie zabrała literatura niekatolicka. Pisarz katolicki nie jest obowiązany do pisania książek o problematyce wewnętrzno-katolickiej. Publicysta katolicki może pisać o sporcie, handlu, polityce, powieściopisarz katolicki może pisać powieść o ludziach, dla których nie wyrósł problem „oczyszczenia ich wiary”. Zawieyski nie przestał być pisarzem katolickim, pisząc powieści o ludziach, dla których religia nie istnieje. Van der Meersch prawie zawsze bierze za temat swych powieści życie ludzi bez wiary, (a wielu jego czytelników nie domyśla się nawet, że jest on działaczem JOC u). Św. Augustyn mówi „kochaj — i rób co chcesz” — i ta zasada odnosi się także do artystów. Natomiast powieść katolicka z wewnętrznym katolickim problemem nie jest utworem często spotykanym. Wydaje mi się, że stworzył ją Bloy, w mniejszym zresztą stopniu swymi dwoma powieściami, ile raczej tragiczną powieścią swego życia. Po raz pierwszy został u niego postawiony problem dramatu człowieka w katolicyzmie. Poprzednio o tym dramacie wiedzieliśmy tylko z pism tych, którzy od katolicyzmu odeszli — lub z pism świętych. Tylko święci mieli śmiałość mówienia o śmiałości człowieka, który przystępuje do Stołu Pańskiego. Bloy uczynił to samo. Potrafił być buntownikiem i pokornym. Krzyżował, ale i bił się w piersi. „Był Lutrem — powiada Maritain — ale Lutrem poddanym i pokonanym”.

Tak, to od Bloy — datuje się powstanie powieści pisanej o świętych piórem ludzi zwykłych. Potem idą A. Fogazzaro, J. Papini, G. K. Chesterton, J. Joergensen, J. Bernanos, K. Peguy... Nie chodzi mi zresztą o wylizanie. Zwracam tylko uwagę na specjalny typ powieści katolickiej — powieść z problematyką wewnętrzno-katolicką, — będącą artystycznym mostem pomiędzy zwykłym „zjadaczem chleba” a świętością...

Jan Dobraczyński

JUŻ UKAZAŁY SIĘ DRUKIEM
NASTĘPUJĄCE NOWOŚCI:
JAN DOBRACZYŃSKI

STRASZNY
DOM

str. 216 zł 420.-

MARIA
RODZIEWICZÓWNA

DEWAJTIS

str. 280 zł 480.-

Do nabycia

we wszystkich
księgarniach

KSIĘGARNIA
ZDZIŚLAW GUSTOWSKI
POZNAŃ
Wielka 10
Sw. Marcina 34

Aleksander Wołowski

Z perspektywy Akropolu

Sztandar grecki jest biały i niebieski. Biały jak mury domów, jak wstęgi pylnych dróg Tessali, jak kolumny Akropolu w porannym słońcu — a tak błękitny, jak niebo nad płowymi górami, jak fale zatoki koryńskiej i Faleronu.

Taki właśnie, szeroko rozpostarty, narodowy sztandar trzymało osiem ateńskich dziewcząt w pysznych regionalnych strojach, podczas uroczystego obchodu drugiej rocznicy całkowitego wyzwolenia Grecji. Jak zawsze, jak codziennie, nad Propylejami, nad Partenonem i potrzaskanym pentelińskim marmurem znaczną, Świętą Drogą, świeciło wiosenne słońce nadając kapitelom złotawe połyski. A poranne szaro-łilijowe cienie złobiły miejscami jeszcze ostrzej, jeszcze wyraźniej dostojne kształty prostych budowli.

Stałem oparty o złomek kolumny i patrzyłem na dorodne ateńskie dziewczyny, którym wiatr rwał z rąk sfałdowaną płachtę chorągwi, na dwusereg gwardyjskich „evzonów”, krasnych jak polne kwiaty, śniadych, czarnoocich, wąsatych a zamasyżystych, na rzędy greckich ministrów, generalicji brytyjskiej i obcych dyplomatów.

Nad nami niebo. Pod nami miasto ciche dalekością, ale dalej jeszcze garbaty, nagły Hymettos i sinawy stok Łikabetu wystający niby kopcik skalny, wysoko nad Atenami z kopulastym, śnieżno-białym, wschodnim klasztorciem na szczycie.

Kilku wspaniałych, wyzłoconych popów śpiewa prymitywne starodawne modlitwy — ponoć przez apostoła Cyryla ułożone i przez tysiąclecie na górze Athos troskliwie przechowywane. Wraz z późniejsze bizantyjskie hymny prawosławne. Na chwałę basileusowi. Za spokój i sytość Hellady. O wieczną pamięć poległym...

Dźwięczą śpiewne i klaszczące zgłoski: des, kal, ros... Arcybiskup i niedawny regent, Świątobliwy Damaskinos przemawia, sławiąc dodekasto opto oktobriem — ten dzień październikowy, kiedy nieliczny lud górskich pasterzy żeglarzy i kupców oparł się przemocą faszystowskich potencji, odpowiadając krótko: „Ochi!” (Nie!). Ochi Italikos! Ochi Germanikos! Ochi Vulgaros! Po trzykroć nie! Włochom, Niemcom, Bułgarom! Padają nazwy zapadłych mijskowości, ubogich osad Epiru, rybackich wiosek Albanii, te same, które przed sześcioma laty świat cały szukał na mapach, Pindos, Argirocastro, Cimara, Korica, Ochrida... pierwsze zwycięstwa Aliantów w tej wojnie.

Skończyły się przemowy. Premier Tsaldaris wciąga powoli biało-błękitny sztandar na maszt. Obok, niby złamana zapałka, kułi się mniejszy maszt metalowy. Został tu na pamiątkę. Przez cztery prawie lata nad świętym wzgórzem Akropolu powiewała swastyka. Aż nadszedł dzień kiedy Niemcy na zawsze opuścili miasto. Zapóźniony niemiecki żołnierz, wbiegł śpiesznie na wzgórze, zwinął wspomnianą chorągiew i uszedł chyłkiem. A patrioci greccy, którzy w godzinę później wpadli hurmem na Akropol by zerwać nienawistne godło, znaleźli jeno goły, szpetny maszt niemiecki pieczętowany wmurowany w betonowy bunkier. Więc z rozmachu i radosnej zaciekiwości, wylamali beton bunkra, a sam drog żelazny zgiełi potężnym wysiłkiem, aż do ziemi. I sterczy do dziś ów śmieszny kawałek żelaznego szmelcu, ledwo zauważalny wobec ogromu dawnych wielkości.

Wiejąca od Pireusu lekka bryza, przynosi zapach soli i rozwija grecką chorągiew. Dopiero teraz widać du-

żą, piękną, haftowaną koronę, która złoci się w środku sztandaru. Bo choć umarł Basileos Jorgios po trzykrotnych okresach panowania, z których ostatni trwał zaledwie 6 miesięcy, Grecja narazie wciąż jest królestwem.

KONTREDANS KRÓLÓW

Trochę ponad 100 lat temu, kiedy po bitwie pod Navarino, Grecja ostatecznie uznana została przez mocarstwa za państwo niepodległe, herbem wyzwolonej Hellady został legendarny Feniks, a władcą Capo d'Istria. Wówczas Anglicy, Rosjanie i Francuzi zgodnie i bezinteresownie wspomagali półdziki bałkański krak, dziwiąc się lekkomyślności Greków, którzy, zamiast dusić podatkami świeżo oswobodzonych obywateli, uzyskane funty i ruble obracać jeli na ciosanie nagrobków Polakom poległym pod Missolonghi i na budowę nowej stolicy w Atenach. W Atenach właśnie, gdzie kilkanaście nędznych chałup kułiło się u stóp Akropolu, a na ruinach świątyni Zeusa i resztkach muru periklesowego pasły się chude kozy.

Kiedy jednak, w parę lat później, Capo d'Istria padł pod sztyletem Mavromicalisa (dziada obecnego ministra wojny) Grecy ogłosili swój kraj królestwem i sprowadzili Otona bawarskiego, nadając mu tytuł basileosa niby nawiązanie do wspaniałości cesarstwa bizantyjskiego.

Po bezpotomnej śmierci Otona, Grecy, po raz drugi udali się na poszukiwanie króla. Odmówił austriacki książę von Wied; bał się. Nie obawiał się natomiast Chrystian duński i przyjął koronę wraz z imieniem Jerzego I. Co zresztą, nie przeszkodziło, że został zamordowany w Salonikach w 1913, co prawda po pięćdziesięciu latach panowania. Przebakowano, że wpływy niemieckie — wszak następca tronu, Konstantyn żonaty był z siostrą kajzera Wilhelma — nie były obce morderstwu króla zagorzałego zwolennika Ententy. Dość, że gdy królowa - wdowa Olga rozkazała wy badać mordercę Skinosą w swej obecności, Skinos nagle zachorował. Nazajutrz znaleziono go nieżywego na podwórzu więziennym. Zapewne wychylił się nieostrożnie z okna czwartego piętra swej celi.

Germanofil, szwagier Wilhelma, Konstantyn obejmuje tron. Ale już w 1917 r. wielki Venizelos z pomocą Aliantów zastępuje go układowym synem, Alexandrem. Wojska greckie biją się w Macedonii u boku Francuzów i Anglików.

Alexandra znów zagryzła małpa, ulubiony magot królewski. Wraca więc ojciec Konstanty (1920 — 1922) aż do chwili, gdy umiera w kąpielni, ponoć śmiercią naturalną.

Jerzy I, niezrażony tradycją rodzinną zasiada na tronie. Po niespełna rocznym panowaniu musi uchodzić z kraju. Grecy lubią zmiany. Zgromadzenie narodowe proklamuje Republikę.

W roku 1935 znów plebiscyt. Podfałszowana większość z kandydatem na greckiego Mussoliniego — generałem Kondylisem — domaga się powrotu króla. Powraca basileos Jorgios, ale na dyktatora fortytuje mężnego Metaxasa. I tak rządzą tamtędy bien que mal (et plutot mal que bien) król i dyktator, pomimo intryg Venizelosa i opozycji republikańskiej, aż do wojny włosko-greckiej 1940 — 1941. Wreszcie wkraczają Niemcy; król i rząd chronią się na Kretę lecz w miesiąc później dopadają ich skoczki spadochronowi dywizji Goeringa. W pośpiechu kładownik brytyjski przewozi ministrów i rodzinę królewską do Aleksandrii, a następnie do Londynu.

Referendum z września zeszłego roku przyniosło teoretycznie ponad 80% procentowe zwycięstwo monarchistów (nie tyle monarchistów, ile antyrepublikańców). Wrócił więc po raz trzeci basileos wśród radosnych okrzyków: „Zito!” i „E...e...erchetai!” (twracal wraca!). Droga tryumfalnego wjazdu nie prowadziła przez plac Venizelosa w Pireusie, więc nie mógł widzieć wzruszony władca tłumy robotników portowych, dźwigających ogromny transparent, na którym wstający z grobu żołnierz grecki zagradza drogę królowi mówiąc: „Nie dla ciebie umieraliśmy!”

MONARCHIA

Gdyby nie wypadki z grudnia 1944, Grecja byłaby dzisiaj najprawdopodobniej republiką o dość radykalnym obliczu politycznym.

Kiedy rozmawia się z mieszkańcami Aten o klęskach wojennych Grecji, opowiadają stosunkowo mało o wojnie samej, a wiele natomiast o rewolucji ELAS'u z zimy 1944/45. O prowokacji angielskiej. O zamachu stanu lewicy popartego zbrojnymi szeregami „andartes'ów” (ludzi z lasu). O paratygodniowych walkach w stolicy i Pireusie. O rozterce i wątpieniu dowódców partyzanckich, potępiających masakrę kolaboracjonistów. O represji rządowej. O deportacjach. O więzieniach, sądach polowych, egzekucjach, ekspedycjach karnych.

Pokazano mi fotografie ofiar wojny domowej w Atenach i okolicy. Wiem dobrze, że przywódcy rewolty karali z całą surowością zbrodnie. Rozhuśtana fala rewolucji wymykała się im często z rąk.

Spokoju nie dały sześciomiesięczne rządy Jerzego II. Może w ostatniej chwili świadomość królewską zalała fala gorczy, kiedy, umierając szepotał: „Kochajcie Grecję... Spokoju... Spokoju...”

„TO BARDZO PROSTE”

Wróciłem niedawno z Macedonii, z trzechset - kilometrowej wycieczki po niesamowitych drogach i bezdrożach. Wypytywałem się o zdanie generałów, policjantów, żołnierzy, jeńców, powstańców, urzędników i naukowców, chłopów i przemysłowców, partyzantów i gubernatorów. W Epirze, w Tessalii, na Olimpie spotkałem płonące chaty wieśniacze, i wyludnione wioski, skąd mieszkańcy uciekli ze strachu przed policją; asystowałem przy karnej ekspedycji, widziałem dwie potyczki, jedną większą bitwę i zostałem aresztowany.

Od dwóch miesięcy szukam odpowiedzi na pytanie dlaczego część narodu greckiego, tak skądinąd szlachetnego i wspaniałomyślnego, porwała się na drugą, wołając: „Idź precz, inaczej zabiję się!”

Szukałem w redakcjach dzienników, w komitetach partyjnych, w ministerstwach i na plaży Faleronu. W eleganckich „boites de nuit” na Kolonaki i w najstraszliwych spelunkach marynarzy w Pireusie. Rozmawiałem długo z Partalisem, generalnym sekretarzem KKE (Greckiej Partii Komunistycznej) i przegadałem pół nocy z legendarnym generałem Napoleonem Zervas.

Komuniści twierdzą: „To bardzo proste. Kraj nie chce dyktatury — mniej lub więcej zamaskowanej — jaką sprawują monarchiści, którzy prowadzą naród do faszyzmu, i przesładują demokratów. Nic dziwnego, więc, że zagrożeni bronią się, albo uchodzą w lasy”.

A monarchiści: „To prosta sprawa. Nic naturalniejszego jak opieka rządu, który broni spokojnych obywateli przed terrorem.

W istocie sprawa grecka nie jest znów tak bardzo prosta.

Aby „zrozumieć” dzisiejszą sytuację Grecji, należy cofnąć się do lat okupacji 1942 — 1944, kiedy to angielskie zrzuły bronie były powodem krwawych walk bratobójczych między partyzantami ELAS'u a żołnierzami EDES'u generałów Zervasa i Grivasa. Tak słynne „Bataliony Bezpieczeństwa” — o których utworzenie pomawiają Gonatasa, obecnego ministra transportów — jawnie w półpracując z Niemcami wydawały im licznych partyzantów. „Zdrada! Hańba!” — wołają Eamiści. — „Nic podobnego” odpowiadają nacjonaliści — „sprawa ta nie ma nic wspólnego z wojną, czy Ruchem Oporu. To sprawa wewnętrzna grecka”.

Ale nie należy się dziwić członkom EAM'u że krew ich zalewa na widok dawnych oficerów owych „Batalionów Bezpieczeństwa”, którzy obecnie pełnią służbę w armii, policji czy żandarmerii albo, co gorsza, stają na czele band prawicowych Chitesu, owej tajemniczej organizacji faszystowskiej „X” (Chi) używanej przez rząd do „specjalnych poruczeń”.

Szpały dwóch największych dzienników lewicowych „Eleftheria Ellada” i „Rizospastia” zapewnione są opisami napadów, zabójstw i prześladowań organizacji demokratycznych. Ba, prasa nie oszczędza i Anglików, wywlakając tajne ich rozkazy czasu wojny, ani rodziny królewskiej. Co świadczy w każdym razie o dużej wolności prasy w kraju.

„Liberalna i postępową część opinii angielskiej nie tai swego braku zaufania dla rządu o przewadze populistów. Ustupający rząd Tsaldarisa i Zervasa obdarzany był częstokroć przez prasę liberalną mało pochlebnymi epitetami w rodzaju „stupid” lub „inefficient”.

PRZEROST STRONNICTWA POLITYCZNYCH

Indywidualistyczni Grecy poza tęsknotą do częstych zmian mają specjalne upodobania do tworzenia coraz to nowych stronnictw politycznych. Klimat polityki wewnętrznej jest skądinąd nieco specjalny jak na nasze zachodnio-europejskie pojęcia. Tu bowiem jest się członkiem tego czy owego stronnictwa nie tyle z przekonania, ile z ufności i uwielbienia dla swego przywódcy. Gdy leader partyjny umiera, całkiem naturalnie przechodzi się do innego ugrupowania, albo też zakłada się własne nowe stronnictwo.

Wachlarz polityczny wyglądałby mniej więcej następująco, licząc od prawa do lewa: nacjonaliści Zervasa mniej lub więcej świadomie faszystujący; populisci-monarchiści okrągłego Tsaldarisa, obecnego ministra spraw zagranicznych; narodowi liberałowie Gonatasa są również zwolennikami monarchii. Dawna partia republikańska Venizelosa nazywa się obecnie socjal-demokratyczną i skłania się ku monarchii. Jej leader, Papandreu, uważany jest powszechnie za jednego z najzdolniejszych ludzi greckiej prawicy.

„Socjaliści” Kanelopulosa, jak i reformaliści Alexandrisa współpracują z monarchistami. Natomiast świeżo powołany na premiera krzepki 87-letni starzec, Temistokles Sofulis stoi na czele potężnego stronnictwa liberałów i aczkolwiek z wielkimi trudnościami realizuje powoli swój program amnestyjny. Wbrew

jednak jego zażeceniom monarchiści nie zgodzili się na udział w rządach przedstawicieli wielkiego stronnictwa lewicowego EAM-u (Ethnikon Apelleutherotikon Metopon). Ten „Front Wyzwolenia Narodowego”, który położył duże zasługi podczas walk podziemnych, grupuje prócz wcale licznej partii Komunistycznej (KKE), także agrariarzy, radykałów i tzw. Unię Republikańską.

Z EAM'em współpracują socjaliści t zw. ELD pp. Svolosa i Tzirimokosa, oraz nowo utworzona partia „progressistów” b. ministra Tsuderosa.

Do tej famigłówki wewnętrzno-politycznej dochodzi jeszcze rola armii greckiej, tej armii, o której sam Sofulis mówił mi uśmiechając się złośliwie: „Niestety nasza armia nie potrafi być apolityczna. Wojskowi nasi ogromnie zasmakowali w sprawowaniu władzy. Sztaby i koszary już im nie wystarczają... Pan jako Polak powinien wiedzieć, jakie daje to rezultaty...”

„UGODA NIEWAŻNA I NIEDOTRZYMANA”

Tak nazywają w Grecji zawieszenie broni podpisane w Varkizie pod Atenami, w lutym 1945, które położyło kres wojnie domowej.

Czy armistycjum to było ważne, to jest czy mieli go prawo podpisać generałowie ELAS-u, Bakirdzis i Sarafis, a z drugiej strony przedstawiciele dowództwa angielskiego i ówczesnego rządu greckiego, tego nie wiem i nikt mi w Atenach nie umiał naprawdę wyjaśnić. Natomiast nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ani jedna ani druga „układająca się strona” warunków ugody nie dotrzymały.

Albowiem Elasiści, którzy mieli wydać komisom angielskim całość posiadanej broni, złożyli zaledwie niewielką część broni automatycznej, lekkich granatów i piątów przeciwpancernych. Za to, zamiast wyznaczonych cyfry 80 tys. karabinów, Anglicy otrzymali jakby na kpiny 89 tysięcy. Co oznaczało po prostu, że zapasy ELAS'u są dość bogato zaopatrzone aby można pozwolić było sobie na tego rodzaju ironiczne prezenty.

Parę oddziałów zaś po prostu zdezerterowało z bronią w rękę w góry, gdzie utworzyły pierwsze załogi antyrządowej partyzantki.

A może rząd, obiecawszy rozwiązanie band prawicowych, epurację armii i administracji z elementów kolaboracjonistycznych, ogólną amnestię i wolne wybory dotrzymany swych zobowiązań? Gdzie tam! Sądy połowe tysiącami ślały powstańców do więzień tak przepelnionych, że trzeba było utworzyć na półwyspie kilka obozów, nie licząc małych skalistych wysepek, które znakomicie nadawały się na miejsca zsyłki. Przywódcy band Chitesu dalej bezkarnie hulają. Gorzej, bo niektórzy pootrzymywali stopnie oficerskie w policji i żandarmerii jak słynny Katsareas, którego tydzień temu partyzanci ustrzelili pod murami Sparty, a który jeszcze z czasów okupacji miał na sumieniu kilkudziesięciu patriotów wydanych gestapo.

Ciągle według układu w Varkizie oficerowie i dowódcy ELAS'u wejść mieli z równymi stopniami do armii regularnej. Z tym różnie bywało. Dość że generałowie Bakirdzis, Sarafis, Tsamakos i Matsukas otrzymali ordery, pochwały w rozkazach dziennych, a następnie dowództwa garnizonów małych wysepek morza Egejskiego. Po przybyciu na miejsce za-

W kraju...

NOWY ROK AKADEMICKI

Najistotniejsze zmiany na odcinku uniwersyteckim dotyczą w tym roku składu społecznego studentów wstępujących na wyższe uczelnie. Według oświadczenia p. Sokorskiego, przewodniczącego Rady Szkół Wyższych, procent dzieci pochodzenia robotniczego wzrosło z 4 do 26 — 27 procent, zaś procent dzieci pochodzenia chłopskiego do dwudziestu kilku. Stanie się to kosztem dzieci pochodzenia mieszczańskiego, których liczba spadnie niemal do połowy. Pierwszym krokiem zmierzającym do wprowadzenia na uniwersytet studentów pozytywnie nastawionych do dokonywujących się w Polsce przeobrażeń było ustanowienie egzaminów wstępnych z udziałem komisji reprezentujących czynnik społeczny. Nowowstępujący musieli podczas nich wykazać gruntowną znajomość zagadnień związanych z współczesną problematyką polityczną i mieć możliwość określenia swego stosunku do nich. Selekcja tego typu nie dotyczyła kandydatów, zaopatrzonych w odpowiednie zaświadczenia wystawione przez organizacje społeczno-polityczne, czekające o społeczno-politycznych zasługach skierowywanych.

W tym roku wejdą również na uniwersytet absolwenci kursów wstępnych, którzy nie mieli możliwości uzyskania świadectw maturalnych drogą normalną. Z tym jedynym wyjątkiem świadectwo dojrzałości jest nadal podstawą pozwalającą ubiegać się o przyjęcie na wyższą uczelnię. Wszelkie odchylenia od tej normy dadzą się zauważyć tylko w wypadkach kiedy kandydat potrafi udowodnić swój aktywny współdziałanie w formowaniu nowej rzeczywistości.

Jak dotąd nie rozporządzamy jeszcze oficjalnymi danymi o wysokości czesnego. Czynniki oficjalne zapewniają, że idea bezpłatności nauczania jest nadal przewodnią myślą obozu demokracji ludowej. P. Sokorski w niedawno udzielonym wywiadzie wyraził się m. in., że „rozpatrywany jest jedynie projekt wprowadzenia opłat od wolnych zawodów i warstw posiadających, jako zarządzenie czasowe, które będzie obowiązywać do chwili zrealizowania idei powszechnego podatku na cele oświaty”.

Uważamy, że pojęcie „wolny zawód” oraz „warstwa posiadająca” winno być możliwie ściśle sprecyzowane, gdyż właśnie bezpłatność nauczania jest jedynym realnym środkiem umożliwiającym warstwom do tej pory upośledzonym pełny dostęp do wyższych uczelni.

W roku bieżącym przewiduje się wprowadzenie na szeregu uczelni międzywydziałowych katedr, dotyczących problematyki Polski współczesnej i historii doktryn ekonomicznych. Przewodniczący Rady Szkół Wyższych przewiduje również wprowadzenie w dalszym etapie katedr materializmu dialektycznego.

Należy lojalnie podkreślić, że w większej części oświadczeń naszych ideowych przeciwników da się zauważyć szczerą troskę o nieobniżanie poziomu naukowego w trakcie forsowania tez zmierzających do nadania szkolnictwu oblicza zgodnego z duchem marksizmu. W walce ideologicznej, która nas czeka, wiele będzie zależało od nas samych, w pierwszym zaś rzędzie od możliwie najwyższego naukowego poziomu też głoszonych przez nas oraz ich społecznie postępowej wartości. Jesteśmy pewni, że nauka katolicka reprezentująca wartości wieczny żywe i tym razem wyjdzie z walki o prawdę, zwycięska i bogatsza o wiele cennych doświadczeń praktycznych.

kozano im „ze względu strategicznych” opuszczać poruczonego im odcinka. Ledwo się spostrzegli, a zapakowano ich na okręt i przewieziono na sąsiednią wyspę Ikarię i wraz umieszczono w monastyrze Aghios Kirykos. Rekołacje generatów trwają już drugi rok.

CZY POTOMKOWIE PERYKLESZA?

Etnograficznie dzisiejsi Grecy mają niewiele wspólnego z mieszkańcami dawnej Hellady. Kolejne inwazje Rzymian, Macedończyków, Albanczyków, włoskich i francuskich Krzyżowców, dalmackich żeglarzy, weneckich kupców, turecko-arabskich wojowników przetworzyły typ antropologiczny Greka, zmieniły jego cechy kulturowe. Nigdzie zresztą w basenie morza Śródziemnego nie spotkałem tyle i tak wyraźnie zaznaczonych typów słowiańskich. Więcej, bo zupełnie polskich. Te dziewczyny wiejskie, ci chłopcy tessalscy, przekupnie uliczni w Koryncie czy Larissie mogłyby z powodzeniem wmieścić się niezauważeni w ludność polskiej wioski koło Zamościa lub Kołomyi.

A jednak wydaje się, że charakter mieszkańców półwyspu pozostal

ten sam co dwa tysiące lat temu. Ten sam wesoły sceptycyzm przy rzeczywistym zainteresowaniu się sprawą publiczną, gadatliwość i skłonność do wybuchów czysto południowych temperowanych przez śródziemnomorski umiar. I wybujały indywidualizm, źródło kłopotów dawnych mężów stanu Hellady, a obecnie przyczyna powstania ośmiu zgrupowań, piętnastu stronnictw politycznych i kilkudziesięciu frakcji partyjnych. I nieśmiałość, chęć częstych zmian, ta sama, co dawniej groziła ostracyzmem najbardziej popularnym osobistościom, a dziś bez trudu zamiana króla na republikę albo na dyktatora. Ot, żywy sprawdzian teorii Taine'a o wpływie klimatu, terenu i środowiska na historię narodów.

**

Wspaniały, marmurowy ateński stadion jest dziełem jednego człowieka, bogatego filantropa, pana Averoffa. Jest na stadionie i statua fundatora w marmurowym surducie, na który to widok melancholijnie wspominam kariatydy Erechteionu. Rozglądając

się po dzisiejszej dżungli politycznej w Grecji, obawiam się myśleć o gwarancjach prawodawców hellenickich określających sprawowanie demokracji ateńskiej czasu Peryklesa, prawdziwych rządów ludu przez lud i dla ludu...

Bo i jak tu zakwalifikować na przykład stosowane — już po moim wyjeździe — szerokie represje w stosunku do całej koalicji EAM'u!! Zaresztowano Partsalidesa, weterana walk socjalnych. Zandarmeria dobiera się nawet do umiarkowanych socjalistów typu Svolosa i Tsirimokosa. Egoistyczne partie prawicowe torpedują wszelkie próby koncentracji postępowych narodowych demokratów Tsuderosa.

Istnieje poważna obawa, że powierzenie Sofulisowi misji stworzenia rządu, do którego weszło kilku liberałów, jest rozwiązaniem połowicznym, które zresztą przyszło za późno. Znowu jak na wiosnę 1945 r. zaludniły się wysiedleńcami politycznymi obozy deportowanych i skaliste wyspyk egzejskie. Wimie „demokracji...”.

Niewesołe to porównania dla wierzących w postęp politycznej myśli

ludzkiej po dwudziestu pięciu wiekach.

Ale schodzący z Akropolu, po uroczystej komemoracji zwycięstwa, Ateńczycy, wracali z pogodnym czołem i uśmiechem ufności na twarzy. Może sprawiło to wspólne pochylenie się nad niedawną bohaterską przeszłością. A może, wśród kolumn i świątyń tak doskonale pięknych w prostocie i ludzkim umiarze, poczuli się przez chwilę lepsi i bardziej sobie wzajemnie bliscy. Bo tu wszystko pomyślane jest na miarę człowieka. Gdzie indziej widywałem zamki i mury obronne jako afirmacja siły i dumy ich władców. Widziałem kościoły strzelające w niebo kamienną tkaniną gotyckich kornerek niby ogromny krzyk wiary i bólesci. Oglądałem przedhistoryczne szczątki kultu apoteozy krwi i strachu. A tu pod tym samym błędnym niebem, człowiek przyparty sobie bez specjalnego upodobania, ale i bez pogardy. I zrozumiał kiedyś, że ma prawo, a może i obowiązek być szczęśliwym.

Aleksander Wołowski

Andrzej Józef Kamiński

Jedność na drogach okrężnych

Większość uchwalonych ostatnio konstytucyj krajów niemieckich ma charakter partykularystyczny. Zaznacza się to mocniej na południu i zachodzie, słabiej może, w strefie sowieckiej; ale i sam fakt uchwalania poszczególnych konstytucyj dla odrębnych krajów, jak Turynia, Saksonia, Meklemburgia itd. jest znamienny, choćby konstytucje te zawierały klauzulę podporządkowania przyszłemu ustawodawstwu „republik niemieckiej”.

Ze względu zupełnie zrozumiałych tzw. rządy krajowe Bawarii, Wirtembergii, Badenii, północnej Nadrenii, Westfalii itd. stały się czynnikami odśrodkowymi; przy tym zwolennicy silnej centralizacji (Socjalistyczna Partia Jedności) pomawia często ten lub ów niemilę jej rząd o dążenia wyraźnie separatystyczne.

Przed paru miesiącami dość głośnym echem odbiła się... wiadomość, pogłoska, czy też plotka (trudno to osądzić) o rzekomych pertraktacjach z kołami rządowymi austriackimi, prowadzonymi ze strony pewnych czynników bawarskich. Pertraktacje dotyczyły utworzenia federacji dunańskiej, do której wciągnąć chciało Węgry, ewentualnie Czechosłowację, a także kraje południowo-zachodnie - niemieckie. Subtelne aluzje pism, które te rewelacje podały, wskazywały na ukrytą w całej sprawie rękę Francji.

Wiadomość została ze strony wszystkich wymienionych w związku z tą sprawą osób ostro zdementowana, chociaż nie była tak bardzo nieprawdopodobna. Pamiętać trzeba, że ostatnio przedwojenna Austria nie była właściwie tworem gospodarczo zdolnym do życia, może więc i obecnie szukać jakiegoś wyjścia z dylematu swojego bytowania. Z drugiej strony ustami swoich „mężów stanu” Bawaria silnie zaznacza swoją wolę niezależności od Berlina i od północy, co mogłoby ją łatwo doprowadzić do szukania oparcia w katolickim południu austriackim. Poza ramy niniejszych rozważań wychodzi już problem, czy z naszego punktu widzenia takie rozwiązanie nie byłoby pomyślne.

Sprawa zresztą jest już przebrzmiała, ale ktoś kiedyś powiedział, że wierzyć należy tylko w wiadomości urzędowo dementowane.

W każdym razie stało się jasne, że krajowe rządy nie będą rzecznikami ścisłego zjednoczenia Niemiec, a nawet, że będą miały w tej mierze poparcie pewnej części społeczeństwa.

Nie trzeba się ludzić, ani przeceniać niemieckich partykularyzmów. Nie ulega wątpliwości, że zwycięska Trzecia Rzesza bez użycia przemocy nawet zespoliłaby wszystkie kraje niemieckie (łącznie z Austrią i Szwajcarią zapewne) w jednym monolickim państwowym. Druga Rzesza bismarckowska wyrosła także ze zwycięstwa.

Ale klęska poniesiona pod przewodem Hitlera, odczuwana dotkliwie przez wszystkie niemieckie kraje, naturalną kolejną rzeczą musiało ochłodzić zapały dla jedności niemieckiej. Rząd centralnego, prowadzącego do klęsk, Niemcy nie chcą. W hierarchii wartości wyżej już stoi zaciszny dobrobyt zaściankowy - bawarski, niż klęska wielkoniemiecka.

Dlatego też chwila obecna stworzyła wyjątkową koniunkturę dla rozczłonkowania Niemiec, dla „cofnięcia wstecz historii”, jak to nazywają zwolennicy jedności niemieckiej. Nie znaczy to zresztą, aby należało takie rozczłonkowanie przeprowadzić wbrew woli zainteresowanych, gdyż wówczas nie może ono być trwałe. Jest to bardzo dziwny przypadek, w którym mają zupełnie wyjątkowo jednocześnie słuszną i błędnie ludzkość o biegunie przeciwnych zapatrywaniach: m.n. Mołotow, chorobliwy germanofil lord Baveridge i dalekowzroczny przeciwnik Niemców, lord Vansittart.

Pierwszy przeciwny jest narzucaniu Niemcom jakiegokolwiek formy rządu i popierał niedawno plebiscyt w tej sprawie.

Drugi stwierdził m. in., określając warunki, jakim odpowiadać musi przyszły pokój niemiecki, że rozczłonkowanie Niemiec może mieć miejsce tylko za zgodą narodu niemieckiego.

Trzeci zapytuje, jak to jest możliwe, aby pragnący dziś uniezależnienia od Berlina Bawarzy pragnęli podporządkowania Berlinowi, gdy się ich pierwsze życzenie uwzględni...

Wydaje się, że narzucanie Niemcom gotowego ustroju byłoby w ogóle krokiem niezręcznym; wszelki bowiem ustrój podyktowany z zewnątrz będzie w Niemczech (jak byłby zresztą

tu w każdym państwie) nienawistny. Natomiast alianci ustalić muszą, co chcą popierać, jakie koncepcje subtelnymi środkami propagandowymi zalecać, jakie obrzydzać. Koniunktura, jak już powiedzieliśmy, nadaje się dla hodowania partykularyzmu, dla podsuwania koncepcji federalistycznej, zresztą w żadnym razie nie tak luźnej, jak zaleca Francja. Ostatecznie zapomnieć nie można, że wszyscy dzisiejsi niemieccy „demokraci” zalecający jedność, nie mogą jeszcze występować bez cudzysłowu, a transparenty: „ein Volk, ein Reich, ein Führer!” dałyby się jeszcze łatwo odnaleźć. Na to, aby (jak chce Osmańczyk) zjednoczone Niemcy zajęły się swymi sprawami wewnętrznymi, trzeba by Niemców zmienić do gruntu. Zjednoczony rząd Rzeszy, o ile będzie siedział mocno w konstytucyjnym siodle, postara się z pewnością o zagraniczo - polityczne sukcesy; bliższy, wyborczy rząd krajowy będzie musiał dać mu coś bardziej realnego, a mniej niebezpiecznego, rowe mosty, szkoły i dużo jedzenia.

Póki jeszcze Niemcy pamiętają, że na przestrzeniach „Grossraumów” kręci się łatwo kark, a w zacisznej Hesji można jako tako żyć, istnieje nadzieja na przyjęcie przez nich takiej koncepcji.

Nie wyklucza to wszystko oczywiście jedności gospodarczej Niemiec, której zbyt ściślemu zwraciu przeszłokodzą już same Landtagi, i rządy krajowe, zalecane ostatnio w Moskwie przez min. Mołotowa, jako przywrócenie przedhitlerowskiego stanu rzeczy.

Niezależnie od wszystkiego, co powiedzieliśmy wyżej, istnieją w Niemczech potężne prądy dośrodkowe, stające się Rzeszą zjednoczyć i zwrócić przede wszystkim zaś nie dopuścić do przekształcenia samego pojęcia „państwa niemieckiego”, o czym jak to uprzednio wspominałem, myślał także pewne czynniki.

Przedstawicielami prądów dośrodkowych są w pierwszym rzędzie partie polityczne.

Powstaje tu pewnego rodzaju paradoks; o ile bowiem rządy reprezentują kierunek odśrodkowy, o tyle partie, które te rządy tworzą przeciwnie, pracują w przeciwnym kierunku.

Zaczyna się to już od nazw. Partia Schumachera, działająca tylko na zachodzie (przynajmniej jawnie i legalnie), nosi nazwę Socjal-demokratycznej Partii Niemiec (SPD); podobnie, uznana prawnie tylko w strefie sowieckiej (SED) zwie się Socjalistyczna Partia Jedności Niemiec. Chrześcijańska demokracja występuje pod nazwą Unii Chrześcijańsko - demokratycznej (względnie w Bawarii, Chrześcijańsko - społecznej — jest to tylko różnica nazwy, nie treści).

Wszędzie tu, jak widzimy, mowa o Niemczech i o unii. Ale nazwy nie wyczerpują partyjnych dążeń zjednoczeniowych. Nie istnieje dotąd prawna możliwość stworzenia partii ogólnoniemieckiej, o organizacji jednolitej dla całego niemieckiego terytorium, ale spodziewane jest zaistnienie takiej możliwości. Toteż partie czynią wszelkie wysiłki, aby być gotowymi na tę chwilę.

Konferencja berlińska chrześcijańskich demokratów (CDU) doprowadziła poszczególne grupy strefowe do gotowości zespolenia w jedną organizację natychmiast po uzyskaniu odpowiedniego zezwolenia. Oznacza to w praktyce, że zespolenie już jest dokonane, a zezwolenie będzie tylko formalną sankcją. Socjalistyczna Partia Jedności rozpoczęła akcję tworzenia wspólnego frontu z KPD (Komunistyczną Partią Niemiec) na zachodzie, przy czym jako pierwszy krok w tym kierunku zaznaczyło się stworzenie wspólnoty pracy z KPD Hesji (strefa amerykańska). Zarząd wspólnoty urzęduje już w Domu Jedności w Berlinie. Projekt zmiany nazwy na „Partię wielkosocjalistyczną” zarzucono (zapewne dla uniknięcia niemitych analogii), pozostając przy nazwie Socjalistycznej Partii Jedności.

Jednolite organizacje partyjne mają przeto stać się sieciami, łączącymi w jedno całe terytorium Niemiec, rozdzielone na szereg krajów i stref. Nie kończy się jednak na tym rola partii.

Jak donosi prasa, na wspomnianej konferencji CDU w Berlinie podkreślono konieczność stworzenia przedstawicielstwa narodowego drogą wyłonienia go przez partie. Na wielkiej manifestacji „jednościowej” partii

(Dokończenie na str. 5-jej)

Czytajcie „SŁOWO POWSZECHNE”

strefy sowieckiej przy sposobności Targów Lipskich, z podobnym projektem wystąpił przewodniczący CDU strefy sowieckiej, Kaiser; na konferencji popierał go szczególnie wiceprzewodniczący CDU Berlina i strefy sowieckiej, Ernst Lemmer.

Ostatecznie uchwalona rezolucja w sprawie polityki zagranicznej wzywa partie do stworzenia centralnego programu partii niemieckich. (Starano się uniknąć jakiegś wyraźniejszej nazwy) Wilhelm Pieck, przewodniczący Socjalistycznej Partii Jedności wyraził zgodę na udział w podobnej organizacji. Schumacher uzależnia wszelkie rozmowy na ten temat od udzielenia Partii Socjal - demokratycznej zezwolenia na działalność w strefie sowieckiej.

Półoficjalnie ze strony socjal - demokratycznej pomysł pochwalają, podkreślają jednak — co jest zjawiskiem zwykłym w systemie partyjnym — że realizować go powinna właśnie SPD. Jako posiadająca wyraźne „oblicze ideowe”. Przypnie trzeba, że oblicze ideowe, a zwłaszcza personalne, „chrześcijańskiej demokracji” niemieckiej wiele pozostawia do życzenia; wspomniany Ernst Lemmer nie oczyścił się właściwie z postawionych mu zarzutów współpracy z hitlerowskim ministerstwem propagandy; i to w charakterze współpracownika „gadzinówek” w Belgii i na Węgrzech.

Nie tylko jednak same partie przejawiają tendencję do zjednoczenia. Niedawno w czasie odczytu w hamburskim, niemieckim klubie prasowym oświadczył prezes „hanzeatyckiego” sądu apelacyjnego, dr Rutsche-Weih, że jednolite prawo niemieckie powinno wiązać ze sobą wszystkich Niemców tak samo, jak jedna mowa. W związku z tym domagał się stworzenia Niemieckiego Sądu Najwyższego i unifikacji prawa, które obecnie, na tle partykularnego ustawodawstwa sejmów krajowych (Landtag) zaczyna również przejawiać rysy odśrodkowe.

Nie od rzeczy będzie tu zaznaczyć, że „wspólny język” sięga znacznie poza granice obecnych Niemiec — przez słowa pana prezesa Ruscheweihy podzwaniają nieco „Grossdeutschlandem”.

Zwolennikiem „Grossdeutschlandu” — co prawda nie hitlerowskiego — i czynnym działaczem tzw. „Republiki Niemieckiej Austrii”, dążącym do zjednoczenia z Rzeszą przez całe życie, był (i zapewne jest?) obecny prezydent związkowy Austrii, dr Karl Renner. Dowiedzieć się tego można z jego życiorysu, ogłoszonego niedawno przez amerykańską „Neue Zeitung”. Ostatnio b. burmistrz przedhitlerowskiego Wiednia, Schmitz, wyślepiający jako świadek w procesie b. min. spr. zagr. Austrii, G. Schmidta, zeznał, że Renner popierał po pierwszej wojnie światowej ideę pangermanizmu.

Dlaczego jego właśnie uczyniono strażnikiem niezawisłości Austrii od Niemiec — pozostaje zagadką.

Obraz byłby jednak niekompletny, gdybyśmy nie stwierdzili, że istnieją jednak partie lokalno - partykularystyczne (jak WIAV, „Zjednoczenie Odbudowy Gospodarczej”, w Bawarii, czy NLP, „Krajowa Partia Dolnośląska” w Hannoverze. Partie te na swoim terenie mają znaczny wpływ).

Jak już zaznaczyliśmy na wstępie — polityka federalizacji Niemiec nie może posługiwać się przemocą i narzucaniem gotowych form; natomiast wiele osiągnąć można na drodze dyskretnego popierania partii partykularystycznych i wszelkich tendencji odśrodkowych. Propaganda przypominać powinna Bawarom, Sasom, Hessom i Westfalom, że zjednoczone Niemcy zaprowadziły ich dwukrotnie do klęski.

Czy silniejsza okaże się „jedność”, czy pragnienie spokoju w zaciszu mniejszych krajów — przyszłość okaże.

Andrzej Józef Kamiński.

Jon Łoski

TROCHE O ANGLIKACH

Prawie każdy Polak powracający z Zachodu, już po pierwszych przywitaniach zostaje zasypany szeregiem pytań, dotyczących wrażeń, jakie odniósł z pobytu na terenie Anglii i ze styczności z angielskim społeczeństwem. Pytają się go o to najbliżsi, znajomi, znajomi znajomych, koledzy z biura i współpasażerowie w pociągu, jednym słowem wszyscy. Jest to widocznym dowodem, że społeczeństwo nasze, które przed wojną nie bardzo się Anglikami interesowało (mówiło się trochę o angielskiej flegmie, spleenie i pani Simpson, ale dopiero po wyczerpaniu ważniejszych tematów), obecnie pała ciekawością dowiedzenia się, co myśli i jak żyje naród, z którym wydarzenia wojenne i polityczne tak blisko nas związały. Padają bardzo różne i często najzupełniej sprzeczne ze sobą odpowiedzi, wynikające najczęściej z ignorancji opowiadającego, a przyjmowane bezkrytycznie i równie bezkrytycznie dalej puszczane w obieg, co nie przyczynia się bynajmniej do stworzenia jasnego obrazu i wyjaśnienia polskiemu społeczeństwu jakimi właściwie są Angliki i czego po nich możemy się spodziewać. A ten jasny obraz przydałby się niewątpliwie niejednemu Polakowi, wierzącemu nieoprawnie w uczciwość angielskiej polityki i ich bezinteresowną miłość do nas, o czym dużo pisywała prasa angielska podczas wojny, a ciągle jeszcze pisze polska prasa emigracyjna. Celem więc tego artykułu i dwóch następnych, będzie danie odpowiedzi na najczęściej powtarzające się pytania, dotyczące pewnych charakterystycznych cech angielskiego społeczeństwa i jego sposobu myślenia, stosunku Anglików do Polaków i wreszcie stosunku Anglików do Niemców. Za podstawę mojej obserwacji brałem nie tylko moje osobiste wrażenia, jakie odniosłem w czasie rocznego pobytu na terenie Zjednoczonego Królestwa, ale i w dużej mierze wrażenia moich kolegów, którzy przebywając przez szereg lat w Anglii mieli sposobność obserwować ościście już dawno minioną „złotą” erę angielsko - polskich stosunków.

W pierwszym rzędzie jednak unikając poruszenia kwestii stosunku Anglików do Polaków chciałbym napisać o samych Anglikach. Powiedzmy, że o Anglikach, widzianych oczyma Polaka, gdyż zdaje sobie sprawę, że pisząc to, trudno będzie mi się wyżyć pewnego subiektywizmu. Równie dobrze zdaje sobie sprawę, że moje zapamiętania i oceny mogą się spotkać z ostrą krytyką, zwłaszcza ze strony ludzi, którzy mieli sposobność stykania się z Anglikami w Polsce lub innych państwach. Tym jednak z góry odpowiem, że Anglików można poznać tylko w ich własnym kraju i to pod tym warunkiem, że nie jest się tam w charakterze turysty z kieszeniami pełnymi dolarów, lecz w charakterze człowieka szukającego pracy i schronienia. Tylko tam bowiem bywają oni szczerzy i to nie zawsze, ale w każdym razie trudniej przychodzi im ukryć coś, co myśli większość społeczeństwa Anglik na placówce zagranicznej, czy to politycznej, czy gospodarczej, czy kulturalnej rzadko kiedy mówi to co myśli, a nigdy już nie daje tego odczuć. Jest to z reguły człowiek odpowiednio przygotowany i wykształcony, można nawet powiedzieć wychowany dla objęcia tego właśnie stanowiska i dlatego rzadko kiedy popełnia on fałszywe kroki. No ale rzadko też bywa szczerzy.

Zresztą nie tylko na zagranicznych placówkach. Angliki są starannie przygotowani do zajmowanych stanowisk. To samo obserwujemy wewnątrz ich kraju, choć oczywiście nie w tym stopniu. Książki czy wojskowy, rze-

mieslnik czy handlowiec, urzędnik państwowy, czy pracownik hotelu, polityk, czy sędzia, każdy z nich otrzymuje takie wychowanie, jakie będzie mu potrzebne w przyszłym zawodzie. Jego miejsce w społeczeństwie nie jest wynikiem przypadku. Ono było dla niego przygotowane już od wczesnej młodości, czasem jeszcze przed urodzeniem. Nie ma tam nieprzypiętej inteligencji, szukającej dla siebie bez końca miejsca w wszechświecie. Wprost przeciwnie, wszędzie widać wyniki celowego wychowania, a obok przygotowania indywidualnego idzie w parze wychowanie społeczeństwa. Daje je książka, gazeta i radio, nauczyciel w szkole, ksiądz lub pastor z ambony i służba w wojsku. To wychowanie wciśka społeczeństwu angielskie w karby potężnej, choć niewymuszonej dyscypliny i równocześnie nakłada na nie maskę nieszczerości, pod którą tak trudno nieraz dostrzec cudzoziemcowi co właściwie siedzi w ich duszy, jakimi eni są naprawdę pod skorupą dobrego wychowania. Twarz znudzonego Anglika, krzywiąca się już w grymasie niezadowolenia, niespodziewanej potrafi rozjaśnić w rozkoszonym uśmiechu. To on nagle przypomni sobie, może o moment zapóźno, że należy — Keep smiling.

Każdego cudzoziemca, przyjeżdżającego z kontynentu uderza przede wszystkim doskonała organizacja tego kraju i łatwość codziennego życia. Nie ma tam ludzi bezdomnych i głodnych, choć ostatnio nie ma i sytych. Wszystko jest zawsze z góry ułożone i uplanowane. Nie ma rzeczy nieprzewidywanych i nie ma kłopotliwych sytuacji. Angliki bowiem nie będąc z natury bardzo sprytnymi, myślą powoli i nie umieją improwizować. Nie uznają zasady „jakoś to będzie”. Wszystko co robią, robią według pewnego ustalonego planu. A gdy tego zabraknie, stają się często bezradni i tym zasadniczo różnią się od nas. Tak bardzo przywykli oni do zorganizowanego w najdrobniejszych szczegółach życia, iż obawiam się, że gdyby coś nieprzewidywanego im tę organizację rozbiło, staliby się bezradni jak małe dzieci i zaczęliby umierać z głodu. Ale wiedzą oni o tym i dlatego zawsze przewidują najgorsze. Postawieni w obliczu trudności nie starają się ich forsować. Wolą je ominąć. Nie lubią stawiania kwestii na ostrzu miecza i chętnie idą na ustępstwa. Kochają kompromisy zarówno w życiu codziennym, jak i w polityce i nigdy nie mierzą się na zamiary.

Polityką w ogóle mało się interesują i nie lubią o niej mówić. Rozpoczynanie w towarzystwie rozmów na tematy polityczne uważane jest nawet za objaw złego wychowania. Panuje powszechne przekonanie, że polityka to taki sam „job” jak i każdy inny i że wymaga odpowiedniego przygotowania zarówno od tych, którzy się jej poświęcają, jak i od tych, którzy o niej dyskutują. Każdy obywatel wybierając swojego posła do parlamentu poleca mu pilnować wspólnego interesu i za to płaci na niego podatki. No, a jeśli będzie się źle starał to drugi raz napewno go nie wybiorą. Abstrahując zresztą od dyskusowania kwestii politycznych, na ogół lubują się oni w dyskusjach, które mają zwyczaj prowadzić w bardzo przyjemny sposób, unikając wypowiediania swych twierdzeń tożnym autorytatywnym sugerowania się własnym zdaniem, a raczej starają się zrozumieć i obiektywnie ocenić kontrargumenty przeciwnika.

Utarło się mniemanie, że Angliki kochają sport. Urządzają u siebie światowe mistrzostwa tenisowe, mecze footballowe, sławne wyścigi konne i psów. Imprezy te cieszą się

ogromną frekwencją wszystkich sfer, nie wyłączając mas pracujących, tak że ostatnio rząd musiał skasować mecze footballowe w środku tygodnia by uniknąć zakłócenia pracy w przemyśle. Ale z drugiej strony można by się zapytać, czy to miłość do sportu, czy też raczej zamiłowanie do hazardu ściąga tych ludzi, którzy z widowisk sportowych urządzają loterie. Wszyscy bowiem widzowie grają przeważnie na psim lub konskim totalizatorze, lub na tak zwanym pool'u footballowym, na którym można wygrać ogromne pieniądze przez prawidłowe odgadnięcie wyników tabeli spotkań. Mniejmy nadzieję, że niedługo stworzą jeszcze pool tenisowy. Jeden tylko golf wygląda na bezinteresowny. Ale tylko wygląda, gdyż okazuje się, że spacerujący za piłeczką po szkockich wrzosowiskach panowie z reguły omawiają business.

Drugie również utarte mniemanie jest, że Angliki są uczciwi. Nie wątpię obserwujemy u nich wielką uczciwość w życiu codziennym, wypadki drobnych kradzieży i nadużyć należą do rzadkości, rowery i mleko zostawia się na ulicy, w sklepach odmierzają uczciwie towar, wydają dokładnie resztę i nie starają się naciągać. W ogóle przeciwnie tego z czym nagminnie spotykamy się na zdewastowanym kontynencie. Z drugiej jednak strony słyszy i czyta się nieustannie o wielkich staraniach zorganizowanych kradzieżach (których ofiarą najczęściej padają popularni członkowie rodziny królewskiej), wielkich nadużyciach w administracji (zwłaszcza krajów okupowanych) popełnianych przez ludzi zajmujących wysokie stanowiska w wojsku i administracji, machinacjach giełdowych i czarnorynkowych na wielką skalę, przemyśle i nieslawnych, tajnych przedsiębiorstwach londyńskiego West - Endu, ciągnących zyski z nierządu.

Sam fakt, że Angliki stworzyli i nadal utrzymują u siebie jedną z najdoskonalszych, szeroko rozbudowaną policję kryminalną, (Scotland Yard C. I. D.) świadczy, że coś musiało dać powody do jej stworzenia. I jeśli w Polsce nieczyemy się z grubszą orientacją, kto jest zdolny do popełnienia nieuczciwości, a kto nie, w Anglii tej zasady nie można zastosować. Tam ludzie lubią grubą grę i w niej równie mało kierują się moralnością, jak i w polityce. A w tej ostatniej w każdym razie trudno dostrzec się uczciwości.

Poza doskonałym zorganizowaniem życia, dającym każdemu obywatelowi Zjednoczonego Królestwa maksimum wygody i komfortu, możliwe do osiągnięcia w ciężkich warunkach, w jakich znalazł się dzisiaj ten kraj, musimy podziwiać u Anglików sposób organizowania przez nich pracy i to zarówno pracy fizycznej w kopalniach, czy fabrykach, jak i obsługi środków komunikacyjnych, restauracji, hoteli i sklepów, pracy umysłowej w urzędach i przedsiębiorstwach, nauki w szkołach itd. I tutaj znowu na każdym kroku napotykalimy na nieodzowny „scheme”, przewidujący dokładnie funkcje dla każdego wykonawcy, a będący wynikiem długoletnich doświadczeń i badań. Naczelną zasadą jest, by każdemu dać pracę, do której dany osobnik nadaje się psychicznie i którą by mógł wykonywać bez wysiłku. Stąd w Anglii rzadko się widuje ludzi ciężko pracujących. Polacy pracujący ramieniem w ramię z Anglikami robią z reguły więcej i chętnie później wyrażają opinie, że Angliki są złymi pracownikami. To twierdzenie jest jednak niezasadzone, choć prawdą jest, że angielski robotnik rzadko kiedy zrobi więcej niż należy. Ale to co należy zrobić zawsze. Poza tym

nie stara się on specjalnie ogarnąć całości danej pracy, ale skupia swą uwagę i zainteresowanie wyłącznie na powierzonym sobie wąskim odcinku. I dlatego rzadko kiedy zostaje dyktantem, a przeważnie szybko wyrabia się na specjalistę i dobrego pracownika. Nie przemęczając się osiąga dobre wyniki pracując pod doświadczonym fachowym kierownictwem.

I teraz mimowoli nasuwa się pytanie, dlaczego ten naród, posiadający bezsprzecznie dużo zalet, jest tak powszechnie niecierpiany? Bo Anglików niecierpią wszędzie, jak świat szeroki, a jeżeli ich jeszcze gdzieś lubią, to chyba dlatego, że ich niedość poznali. Nawet Szkoci ich nie kochają, choć mieszkają z nimi, można powiedzieć, pod jednym dachem. Przyczyna leży w ich szowinizmie. W szowinizmie nie tak krzykliwym, jak niemiecki, choć bez porównania głębszym. Wtedy gdy odurzona mowami swego wodza hitlerowska zgryza wykrzykiwała, że Niemcy są Herrenvolkiem, Angliki uśmiechając się mówili pocichu: „Tak, im się zdaje, że oni są panami świata, a my nimi jesteśmy”. I chociaż starają się ukryć tę dumę pod płaszczkiem wymuszonej uprzejmości, nie trudno jest odczuć, co oni myślą. Niech się więc komuś nie zdaje, że łatwo wsiąknąć w angielskie społeczeństwo. Bo można wśród nich żyć dziesiątki lat i być już nawet „British subject”, ale nadal czuć się cudzoziemcem, nie będąc „British born”. Nawet dzieciom imigrantów potrafią to jeszcze przypomnieć. Ale podczas gdy u siebie każdemu bez końca będą przypominać, że jest cudzoziemcem, sami nigdzie się za cudzoziemców nie uważają. Anglik zagranicą zapytany, czy jest cudzoziemcem odpowiada „No, I'm am British”.

Tak więc, chociaż mamy wszelkie powody, by Anglików nie lubić, nie zapominajmy, że wielu rzeczy mogli byśmy się od nich nauczyć ku własnemu użytkowi. Dzisiaj stoją oni w obliczu potężnego, niepamiętnego od wieków w historii Anglii kryzysu, będącego prawdopodobnie początkiem końca Imperium i angielskiego władztwa nad światem. Nikt tego zresztą lepiej nie rozumie, jak oni sami. I choć nie są w stanie odwrócić biegu wypadków, starają się im nadać najłagodniejszy możliwie przebieg, zastępując w porę stare, przetrzymane formy rządzenia nowymi i przygotowując społeczeństwo do nowej roli i nowych zadań nie politycznego i gospodarczego, lecz duchowego i kulturalnego przywództwa.

Jeśli zastanowimy się nad powodami obecnej dramatycznej sytuacji w Wielkiej Brytanii, dochodzimy do przekonania, że kryzys ten ma podłoże bardzo głębokie, bo nie tylko ekonomiczne i społeczne, ale przede wszystkim biologiczne.

Zanalizujemy więc obecną sytuację. Anglia wygrała wojnę militarnie przegrała ją słabiej ekonomicznie, z wierzyciela stając się dłużnikiem. Zniszczone Niemcy i Włochy nie są w stanie zapłacić odszkodowaniami angielskich długów. Wprost przeciwnie, są jeszcze dla Anglii ciężarem. Co gorsza, Anglia od szeregu lat jest przedsiębiorstwem pracującym deficytowo, gdyż wartość jej importu stała przewyższa wartość eksportu. Dotychczas lukę tę łatalo amerykańską pożyczką — obecnie jednak rząd angielski wzdryga się przed dalszym zadłużeniem się, nie chcąc popaść w całkowitą zależność od Stanów Zjednoczonych. Co więcej — odważa się nawet na złamanie umowy pożyczkowej, wstrzymując konwersję funta na dolara. Chwyta się najdrastyczniejszych środków niestosowanych

dotychczas w demokratycznej Anglii w czasach pokojowych. Ogranicza do minimum ilość towarów na rynku wewnętrznym, kierując gros na eksport, przykreca śrubę podatkową, by zapobiec inflacji i rozpoczyna przymusowe kierowanie ludzi do pracy. I wzywa wszystkich wielkim głosem do zaciśnięcia pasa, czyli jak się to fachowa nazywa do obniżenia standardu życia. Anglicy bowiem wciąż jeszcze żyją nad stan.

Są to niewątpliwie odważne pościągnięcia. Nawet bardzo odważne, jeśli przyimiemy pod uwagę, że obecny rząd premiera Atillee staje się coraz mniej popularny. Równocześnie bowiem, gdy skrajnie lewicowy odłam w łonie Labour Party zarzuca mu, że jest zbyt konserwatywny, konserwatywna opozycja atakuje go za brak doświadczenia i krótkowzroczność. A cały naród odczuwa brak wodzostwa, podniety i programu stwarzającego konkretne cele.

Dochodzą ogromne trudności wewnętrzne, wywołane wojennymi przemianami wśród społeczeństwa. Setki tysięcy zdemobilizowanych żołnierzy obojga płci z żalem wspomina barwne i wygodne życie, jakie zapewniała swym żołnierzom armia brytyjska i nie garnie się do pracy.

By zaradzić zlu rząd sprowadza do pracy cudzoziemców, których z kolei usuwają drogą strajków Związki Zawodowe, obawiające się obcej konkurencji dla swych członków. I znowu kłopot, bo cudzoziemców trzeba karmić i ubierać.

Lecz jak już wyżej powiedziałem, najgłębszym, choć pośrednim powodem kryzysu jest jego podłoże biologiczne. Anglicy są narodem starym, idącym ku schyłkowi. Świadczy o tym szereg objawów, rzucających się odrazu w oczy przybyszowi z zagranicy. W pierwszym więc rzędzie uderza nas duży procent ludzi starych w stosunku do młodzieży. Powodem tego jest fakt, że młode małżeństwa są często bezdzietne lub ograniczają się do jednego potomka, podczas gdy postępy medycyny i spokojne stosunkowo życie przedłużyły znacznie wiek ludzi starszych. Poza tym widoczne są i wyraźne objawy degeneracji. Rodzi się duży procent dzieci ułomnych, które już od dzieciństwa chowane są w specjalnych zakładach. Młodzież, zwłaszcza męska przedstawia pod względem fizycznym oplakany widok i dosyć późno rozwija się umysłowo. Zauważa się również zupełny brak angielskich sukcesów w dziedzinie sportu w konkurencjach międzynarodowych. Ostatnio nawet krążył po Anglii dozwój, że jedyne zawody, które jeszcze Anglicy mogą wygrać, są regaty Oxford — Cambridge, gdyż nikt poza nimi nie bierze w nich udziału. Charakterystycznym jest objaw brania przez kobiety góry nad mężczyznami. Angielskie kobiety są często bardziej przedsiębiorcze i inteligentniejsze od mężczyzn, przy czym możemy zaobserwować wzrastający udział kobiet we wszystkich dziedzinach życia tego kraju.

Najbardziej uderzającym jednak jest porównanie przeprowadzone między dzisiejszą Anglią a Polską. Z jednej strony mamy Anglię, która straciwszy na skutek działań wojennych 366.000 ludzi wyszła z tej wojny biologicznie i materialnie niezniszczona, a jednak idzie ku katastrofie, mającej swe źródła w apatii i bełności własnego społeczeństwa. Odczuwa się wśród nich coś, jakby niewiarę i lęk przed przyszłością, wyrażający się zupełnie namacalnie w wypełnionych na parę lat naprzód kwotach emigracyjnych do krajów zomarskich. Z drugiej strony widzimy Polskę, która straciwszy sześć milionów obywateli, będąc zniszczoną i grabioną przez najęźdźcę, jak żadne z państw, walczą z potężnymi trudnościami gospodarczymi i społecznymi, dźwiga się jednak z gruzów, nie dzięki obcej pomocy, ale ciężki wiarze i pracy swych obywateli. To porównanie samo za siebie nam mówi do kogo należy przyszłość.

Wysiłki czynione około odnowienia sztuki kościelnej i przywrócenia jej pierwotnej świetności i blasku w sensie wewnętrznych wartości dzieła, od dłuższego czasu spełniają na niczym.

Przyczyną tego należy dopatrywać się nie w braku odpowiednich sił artystyczno - twórczych, ale w zupełnym niemal nieprzygotowaniu artystów do twórczości kościelnej, w ścisłym znaczeniu, a także nie zrozumieniu spraw twórczości sztuki kościelnej i jej potrzeb, bądź też w braku należytego podejścia do niej jako do Służby Bożej w odpowiednim stanie wewnętrznego nastroju i uświadomienia jej pojmowania sztuki kościelnej modlitewnie z potrzeby wewnętrznej twórczości, nie zaś merkantylnie. Nie znaczy to, aby artyści wykonując tę twórczą pracę, nie byli wari swjej zapłaty i pracowali tylko, jak to się mówi często „na chwałę Bożą”. Ale żeby założenia tej twórczości, do której potrzeba nie tylko talentu artystycznego, z jego właściwościami, były nie tylko uwzględniane teoretycznie, lecz stosowane w całej swej rozciągłości w całym życiu artysty i żeby twórczość ta nosiła cechy szczególnej przynależności do Kościoła, to znaczy, żeby artyści poświęcili się temu zadaniu całkowicie, obierając sobie jakąś specjalność w tej dziedzinie.

Teren sztuki kościelnej jest nieźle urozmaicony i ciekawy zarówno pod względem struktury zewnętrznej jak i jej podziału a także pewnych poszczególnych właściwości, odnoszących się do samych pojęć plastycznych i przystosowania ich do potrzeb Kościoła. Chociażby w samej architekturze kościelnej znajdujemy cały szereg łączności i ciągłości pojedynczych zagadnień składających się na całość Świątyni jako Domu Bożego i terenu duszpasterskiego jako spraw, zalebiających się nie tylko o potrzeby samego kultu, lecz i o pewne momenty dekoracyjne i estetyczne jako wzruszenia i potrzeby wewnętrzne człowieka, które również należy zaspokoić i uwzględnić w kultcie Bożym, wymagającym szczególnego poziomu i rodzaju twórczości.

Gdyby nie to, że pewne fałszywe pojęcia zaciemniają istotę sztuki kościelnej można byłoby przystąpić odrazu do omówienia właściwości i niedomagań sztuki kościelnej. Jednakże wobec pomieszenia do pewnego stopnia pojęć pomiędzy sztuką religijną a sztuką kościelną, wypada poświęcić kilka słów wyjaśnienia w odniesieniu do sztuki religijnej i sztuki kościelnej osobno.

Muszę tu przede wszystkim zwrócić specjalną uwagę na samo pojęcie sztuki kościelnej jako takiej i na pojęcie sztuki religijnej, które to pojęcia prawie zawsze są łączone ze sobą, jakoby miały wyrażać jedno i to samo.

Mówiąc o sztuce kościelnej myślimy o tej części wymownego duszpasterstwa i liturgii, która swoją szatą zewnętrzną i wewnętrznąmi wartościami dzieła, oddziałuje na wiernych, pociąga, wznosi i uczy, czego sztuka religijna nie jest w stanie uczynić. Wielkość i wartość sztuki kościelnej jest mierzona Duchem Bożym, wiarą i miłością, natomiast wielkość i wartość sztuki religijnej mierzy się przymiotami plastycznymi i talentem twórcy. Sztuka kościelna ma tylko jedną miarę wysokiego poziomu wewnętrznego, podczas gdy sztuka religijna rozporządza całą gamą możliwości, począwszy od dyktantyzmu i kicza poprzez cały szereg wartości artystycznych do arcydzieła włącznie. To też ta różnorodność nie może stworzyć jednolitego, zwartego i

Chwałisław Zieliński

silnego w wyrazie dzieła kościelnego, wobec czego nie ma ona żadnego wpływu na kształtowanie wewnętrznych wartości dzieła, pomimo dość dużego zainteresowania się treścią religijną wśród artystów nawet wielkiej miary. Trzeba też w rezultacie powiedzieć, że nie mamy sztuki kościelnej w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale mamy za to silnie rozbudowaną sztukę religijną. A ta natomiast, jak już wyżej wspomniałem, mając bardzo szerokie zainteresowania, upodobania i zastosowania, nie może dać jednolitego i zespolonego oblicza twórczego. Niewątpliwie sztuka religijna ma swoje głębokie i uzasadnione znaczenie w społeczeństwie, a może nawet częściowo i dla Kościoła, ale tylko pozorne bez specjalnego znaczenia. Najczęściej bowiem staje się terenem wszelkich możliwych pomysłów i możliwości wykonania i nieporozumień, nie mających nic wspólnego z pojęciem sztuki o znaczeniu duchowym, znaczeniu kościelnym. Pojęcie sztuki religijnej, jest pojęciem w szerokim znaczeniu, dostępnym dla każdego artysty a nawet dyktanta, pragnącego wyrazić swoje uczucia, przeżycia, jeżeli je ma i potrzeby. Jest to jak gdyby prywatne i osobiste wzruszenie, wpływające z głębi twórczej myśli plastycznej, ale jakże często bezładnej, nieuporządkowanej, nie zawsze skierowanej do Boga. Sztuka kościelna natomiast, jest prawdziwą plastyczną modlitwą liturgiczną Kościoła, w znaczeniu nie tak plastycznym, jak duchowym, wypływającym z czci Boga, potrzeby jego chwały, ekspiacji, dziękczynienia i służby; może nie raz w mniej wyszukanej i kunsztownej formie plastycznej, ale bogatej w wewnętrzne wartości twórcze i treść, noszące na sobie znamie boskości. Sztuka kościelna, być może, jest pozornie trudna do pojęcia i niezrozumiała dla przeciętnego artysty, ale tylko tego, którego przeraża ogrom przepisów, wymogów i potrzeb duszpasterskich, do których nie chce zastosować się jako rzekome skrepowanie twórczości. Dla artysty, stojącego z dala od Kościoła i jego życia, będą to zawsze sprawy tego codziennego liturgicznego mała zrozumiałe i kłopotliwe do pewnego stopnia, lecz niemniej potrzebne. Ale dla artysty kościelnego i praktykującego i ipso facto czującego po katolicku, sztuka kościelna będzie wnie sieniem się ku Bogu duszą i jego twórczością jako hymn chwały, dziękczynienia lub ekspiacji.

Nie ruszając zagadnienia sztuki religijnej, która właściwie nie wymaga specjalnej interpretacji, pragnę poświęcić całą uwagę sztuce kościelnej jako bardzo niepokojącej sprawie, a w szczególności przygotowaniu artystów do tego rodzaju twórczości i pod tym kątem widzenia pragnę tylko podejść do tego zagadnienia.

Już w drugiej połowie ubiegłego wieku sprawa odnowienia sztuki kościelnej nurtowała niektórych, szczególnie zagranicznych artystów i duchowieństwo. W rezultacie, skoro otworzył się ruch liturgiczny na przełomie 19-go i 20-go wieku, zdołano dojść do pewnych zdobyczy i osiągnięć. I dziś Francja, Belgia, a nawet Niemcy stają się w tej dziedzinie dla nas wzorem, dzięki niepożądanej wysiłkom i pracy benedyktynów

opactwa Bueronu w Bawarii, św. Andrzeja w Belgii i Maria Laach w Niemczech. Praca benedyktynów na tym polu znalazła swój wymowny wyraz w zjeździe Związku Artystów Sztuki Kościelnej we wrześniu 1947 r. w Beuronie. Zagadnienia, jakie tam poruszano, świadczą o niezmiernie głębokim ujęciu całokształtu spraw sztuki kościelnej. Zdania na temat artysty i jego twórczości wypowiedzieli wybitni przedstawiciele Kościoła w sensie stosunku i przydatności sztuki kościelnej.

Biorąc sprawę sztuki kościelnej i artystów z zasadniczego kościelnego punktu widzenia, trzeba stwierdzić i podkreślić, że pomiedzy Kościołem a sztuką nie ma właściwie ścisłej łączności i że sztuka Kościołowi nie jest bezwarunkowo potrzebna do jego własnego życia. (Erzbischof Conrad Groeber „Kirche und Kunstler“, Herder 1932. Str. 12). Nigdzie bowiem w Piśmie św. nie powiedziano jest o sztuce ani o nauce, jako o wiedzy, koniecznej do życia duchowego i potrzeb duszpasterskich, bowiem wartości życiowe, jakie sztuka i nauka przedstawiają mają dla Kościoła znaczenie drugorzędne w odniesieniu do zbawienia duszy, stosownie do słów Pisma św.: „Co człowiekowi po tym, że cały świat posiadzie, jeżeli na duszy swej poniesie szkodę?”. Zagadnienia sztuki nie poruszają w żadnym wypadku istoty Kościoła, bowiem Msza święta może odprawiona być wszędzie, gdzie tylko znajduje się ołtarz, bodaj najuboższy, przenośny w bezkształtnej chacie dzikusa (Cornelius Gurlitt tamże).

Ten zasadniczy pogląd Kościoła na tę sprawę przytaczam dla tego, żeby dać poznać jak bardzo sztuka kościelna jest uzależniona od pewnych niezaprzeczalnych wymogów i jak powinna być pojęta i traktowana w duchu i prawdzie, skoro założenia Kościoła oparte są wyłącznie na głębokich podstawach wewnętrznych wartości, mierzących tylko do zbawienia duszy, do których to spraw Kościół może dopuścić artystów do pomocy w duszpasterstwie, ale nie musi. I dlatego sztuka kościelna musi i powinna stosować się do wskazań i wymagań, stawianych przez Kościół w sensie właśnie tych wartości, które mają należycie oddziaływać na wiernych, tudzież kształtować do pewnego stopnia, inter-

pretować i udostępniać naukę Kościoła jako naukę Chrystusa.

Chociaż Chrystus nie pozostał ani jednego słowa o sztuce i o artystach, to jednak nauka Kościoła nie wyłącza ani sztuki i artystów, ani też nauki ze swej istoty. Więcej nawet. W nowszych czasach Kościół artystę uważa za swego współduszpasterza a w ramach Akcji Katolickiej jako wyjątkowego apostoła i kapłana świeckiego. Artysta, należący do tej samej społeczności przez swą twórczą pracę i jej znaczenie, staje się niejako kapłanem o wyjątkowym znaczeniu, nauczając swą działalnością artystyczną udostępniającą prawdę wiary w sposób poglądowy i tym wspiera wydatnie kapłańską pracę duszpasterza.

Wychodząc z tego założenia, należy przypuszczać, że sztuka i artyści nie powinni być objętymi Kościołowi i dla należytego spełnienia ich zadania powinny chodzić Kościołowi o ich wartości i nastawienie wewnętrzne w odniesieniu do twórczości. Kościół przede wszystkim powinien troszczyć się o ich wychowanie i przysposobienie do pracy pomocniczej w duszpasterstwie artystów.

Kwestia wychowania artysty kościelnego ma pierwszorzędne znaczenie nie tylko dla Kościoła. Toteż najpierw partycypuje w tym państwo, dając mu sumę wiadomości praktycznych i teoretycznych w sensie artystycznym jako twórcze wartości zewnętrzne. Kościół natomiast powinien pozyskać sobie takie talenty skończonych artystów, którzy by stanowili zdecydowane wartości plastyczne i tych odpowiednio przygotować do swej pracy i zadań. Wprawdzie artysty wierzący i praktykujący mogli stworzyć nawet bez tego teoretycznego przygotowania, ale ponieważ ich wśród wielkiej rzeszy artystów nie ma, przeto należałoby postawić sztukę kościelną w sensie takim, co niezmiernie ułatwiłoby początkującym artystom rozumienie sztuki kościelnej i utrwalało by drogę do jej właściwego rozumienia. Kościół w tym wypadku ma bardzo wiele do powiedzenia. Cały szereg zagadnień dogmatycznych i teologicznych a także i liturgicznych w plastycznej tematyce kościelnej należałoby opracować przez odpowiednich specjalistów duchownych (bibli-

VIDEANT

czyj troska o przygotowanie pla

Abstrakcjonizm

i naturalizm w sztuce

Zrozumiałe zainteresowanie ludzi śledzących rozwój sztuk plastycznych wywołuje książka prof. Morelowskiego, która niedawno pojawiła się pod powyższym tytułem.

Problem abstrakcjonizmu i naturalizmu w różnych postaciach i pod różnymi nazwami był jednym z najistotniejszych zagadnień sztuki, a dziś konflikt tych dwóch tendencji jest szczególnie silny, można powiedzieć dramatyczny.

Jest przeto niezmiernie cenne i nieodzowne, zarówno dla współczesnych artystów tkwiących w tym konfliktzie jak dla współczesnych odbior-

ców sztuki — oszołomionych i zdeorientowanych świadków konfliktu, cofnąć się wstecz i na problem spojrzeć w perspektywie historycznej drgi sztuki.

Poprzedzona niezbyt łączącym się z treścią całości wstępem o początkach piśmiennictwa polskiego na polu historii sztuki, omawiana rozprawa, charakteryzuje obie postawy abstrakcjonistyczną i naturalistyczną oraz daje rys historyczny różnych form, jakie przybierają te dwie tendencje. Począwszy od sztuki ludów pierwotnych poprzez wszystkie epoki historii w różnych narodach i cywilizacjach, widzimy te dwie tendencje, z których naprzemian raz jedna raz druga szczyty się nietrwającym zwycięstwem.

Cała praca daje wyraz przekonaniu autora, że zarówno przewaga

*) Marian Morelowski Prof. Historii Sztuki K. U. L. „Abstrakcjonizm i naturalizm w sztuce” Lublin 1947. Nakładem Towarzystwa Naukowego Uniwersytetu Lubelskiego.

CONSULES

styków do twórczości kościelnej

stów, teologów, kancistów, liturgistów, rubrycystów itp.), w sensie pewnych elementów przedmiotowych, składających się na plastyczną budowę tematyki kościelnej lub potrzeb z uwzględnieniem wszystkich potrzebnych wartości do danego tematycznego wyrazu plastycznego, zawartych czy to w Piśmie św. i Tradycji, czy też w żywotach świętych lub innych źródłach. Sprawa ta co prawda nie jest łatwa, ale niemniej potrzebna a nawet konieczna. Wielu artystów zupełnie nie zna wyżej wymienionych potrzeb a nawet ich kompletnie niedocenia. Co gorsza wielu duchownych nie wie w jaki sposób mogło by pomóc plastykowi w jego przygotowaniu się do pracy artystyczno-twórczej w budowaniu dzieła kościelnego. Jest to niewątpliwie wina wadliwym wykształceniu kleru w tej dziedzinie, na co również pragnę zwrócić uwagę. Wielu artystów zupełnie nieznaną są takie przedmioty jak np. symbolika, ikonografia, nie mówiąc już o liturgii, rubrykach, dekretach św. kongregacji, Obrzędów i kano-nach odnoszących się do sztuki kościelnej i wszystkich jej przejawów. Ten cały materiał odnoszący się do sztuki kościelnej, po wzięciu być podany gotowy do użytku artystów i odpowiednio przerobiony nawet w istniejących już wyższych uczelniach skąd wychodzą artyści plastycy i architekci. Rozwiązano by to sprawę tych niedomagań sztuki kościelnej w znaczącej części.

Ostatnie dziesiątki lat przed wojną zaznaczyły się bardzo bogatą twórczością plastyczną we wszystkich niemal dziedzinach sztuki kościelnej, nie mówiąc już o sztuce religijnej. Architektura malarstwo, rzeźba, wystąpiły w świeżych i nowych formach plastycznych, odznaczając się bogactwem pomysłów i pojęć konstrukcyjnych, kształtów i barwy, tudzież wzajemnego oddziaływania na siebie sztuk plastycznych. Najwybitniejsi architekci projektowali i budowali kościoły w najświetlejszych pomysłach zarówno zagranicą jak i w Polsce, bo tylko takich szuka się i im się powierza wznoszenie świątyni. Ale czy zdawali sobie oni sprawę z tego, co to jest kościół i jakie ma on potrzeby duszpasterskie i liturgiczne?

Nieznajomość i ignorancja spraw osobistego stosunku artystów do religii, a także swoich zainteresowań zawodowych do twórczości kościelnej, traktującej ją sporadycznie i przygodnie na przestrzeni

zresztą długich wieków, uniemożliwia powstanie sztuki kościelnej, które właściwie w tych czasach ma wszelkie, zdawałoby się, warunki ku temu, aby sprawę tę konkretnie uregulować w sensie naukowym jako pewnego rodzaju umiejętności obowiązująca, jeżeli nie artystów, to przynajmniej kler.

Zdobycze nauki i techniki przemknęły w głąb poczynani artystycznych, zwłaszcza w architekturze, malarstwie i rzeźbie. Zatarły się nawet rażące niekiedy różnice istniejące pomiędzy poszczególnymi pojęciami artystów a ich twórczością. Wyodrębniły się i mocno zarysowały poszczególne gałęzie artystyczno - plastyczne idąc własną drogą, kształtując się i specjalizując. W tym wirze pracy, zainteresowań, zmagani i przemian plastyczno-twórczych, artyści zaczęli głąbić raz po raz do świątyni zatrzymując się dłużej lub krócej, w zależności od powierzonych sobie zadań i odchodzą znów do swych codziennych zajęć i walki twórczej o uznanie o palną pierwszeństwa lub wyróżnienie, prześcigając się w wyszukiwaniu coraz do nowszych kierunków i wyrazów plastycznych kształtu barwy lub faktury. I znowu czekają na następną sposobność wyżycia się plastycznie na tak wdzięcznym terenie, jakim jest teren kościoła. Nic ich tam bowiem nie kępuje i nikt im nie przeszkadza. Artysta decyduje tam zarówno w sprawach plastycznych, jak i w sprawach wewnętrznych wartości dzieła. Czasami ustala treść i rodzaj dzieła, nie licząc się z opinią i wypowiedziami duchowieństwa jedynego kompetentnego czynnika w tym wypadku. Zapomina o ścisłej i wzajemnej współpracy z duchowieństwem. Zapomina o właściwościach dzieła kościelnego, co do którego biskup ma moc kanoniczną prawa ma obowiązek pilnować zgodności wyrazu plastycznego z nauką Kościoła, a resztę duchowieństwo w diecezji, zwłaszcza proboszczowie, mają domniemaną delegację biskupa dla załatwienia tych spraw w jego zastępstwie.

Zapomina wreszcie, że dzieło przez niego stworzone ma swoje wyraźne przeznaczenie i że musi posiadać wszelkie cechy i wartości dzieła, odpowiadającego stawianym wymaganiom przeznaczenia i charakteru.

W dziełach kościelnych, nie posiadających potrzebnych, wymaganych warunków przeznaczenia, niewątpliwie usiłuje wyrównać artysta te braki formą, techniką,

sposobem wykonania, niekiedy kłosem lub osobliwą kompozycją konstruktywną. Te wszystkie właściwości artystyczne w odniesieniu do treści, która z kolei musi tworzyć kręgosłup dzieła kościelnego, są oczywiście w pojęciu Kościoła drugoplanowe, tak jak to zresztą było w średniowieczu.

Cały ten wielki zasób zewnętrznych, artystycznych, niekiedy dużych wartości form, kształtów i barwy, dezorientuje nawet najbardziej wytrawniejszego krytyka i nie pozwala mu obiektywnie spojrzeć na dzieło. Rzadko kto przez piękną i zładną zewnętrzną zastanę artystyczną dostrzeże pustkę przerażliwą. Rzadko kto dostrzeże błędy i braki powtarzane niemal w każdym kościele. A nikt nie dostrzeża, że tu właśnie, tu, sztuka zahamowała swój rozwój w sensie wewnętrznych wartości, tj. bogatej i wzniosłej treści, pojętej przez Kościół jako trzon i podstawę twórczości kościelnej, jako przyczynę do kultury narodu.

Na nie się przydadza zdobycze najnowszej techniki i wiedzy. Nie pomogą najbardziej wyszukane i piękne formy artystyczne, jeżeli sztuka kościelna nie odrodzi się w duchu i prawdzie.

Zagładanie przez artystę do kościoła od czasu do czasu za pomocą sporadycznie stworzonego mniej lub więcej udanego dzieła, nie może wprowadzić pożądaną wartość twórczych. Trudno jest artystce wczuć się w potrzeby Kościoła, jeżeli on jest Jego przynajmniej gościem, sprowadzonym do świątyni z konieczności lub przy sposobności. A chociażby i cieszył się do tej świątyni zagładał, to jeżeli nie rozumie dostatecznie potrzeb związanych z życiem Kościoła, sam ich nie odczuwa; nie widzi świątyni jako terenu akcji duszpasterstwa, nie widzi ołtarza jako stołu ofiarnego, najważniejszej części w kościele, dla którego mury świątyni wzniesiono, nie umie odszukać ukrytej mowy w symbolach i przenośniach znaków umownych, nie rozumie słów Pisma św. i nie słucha Słowa Bożego — i jeżeli w końcu nie odczuwa piękna liturgii Kościoła Katolickiego i nie widzi jej jako niewyczerpanego źródła twórczości plastycznej, nie może stworzyć bez szkody dla Kościoła, a przynajmniej staje się nieplodnym i bezużytecznym w żywej społeczności wiernych. Nie może brać udziału w duszpasterstwie obok liturga i kaznodziei. Nie może być kapłanem w duszpasterstwie ludzi świeckich.

Wiadomo, że uczonej ten tkwiąc w studiach przeszłości, niezbyt żywo podąża za aktualnym biegiem sztuki. Z punktu widzenia żywych problemów abstrakcjonizmu i naturalizmu, należy również żałować, że w omawianym studium nie zostały uwzględnione wykopaliska fresków Galijskich, odkryte przed samym wybuchem wojny we Francji. Odkrycia te jak wiadomo wywarły silny, choć może nie trwały wpływ na ostatnie francuskie kierunki malarstwa awangardowego. Za ten brak jednakże trudno winić autora omawianej pracy.

Izolacja nauki polskiej z ośrodkami nauki zachodnio - europejskiej są tego przyczyną.

Mimo tych zastrzeżeń studium o Abstrakcjonizmie i Naturalizmie w sztuce jest pozycją wzbogacającą naszą literaturę z zakresu sztuk pięknych i zasługującą ze wszechmiar na polecenie. Duża ilość dobrze dobranych reprodukcji ilustrujących treść pracy oraz forma ujęcia i podania pozwala nie tylko specjalistom i wykształconym w zakresie sztuki zaznajomić się z omawianym tematem.

Akr.

Dziś, kiedy pewne warstwy społeczne szczególnie doceniają wartość i znaczenie Kościoła we własnym osobistym życiu, kiedy przemiany społeczne sprzyjająco oddziałują na ruch religijny, dziś nam potrzeba wymowy uczuć, wyrażających się w czynie twórczym każdego katolika, zwłaszcza tych, których prace w rezultacie mają dać obfite owoce o dużych wartościach.

Brak specjalistów w dziedzinie sztuki kościelnej daje się odczuć dotkliwie. Nie ma ich wśród artystów, nie ma ich wśród duchowieństwa. Trudności, jakie występują się w poczynaniach dla wypełnienia tych potrzeb sztuki kościelnej, są niewspółmiernie wielkie, trudne i jeszcze bardzo proste matycznie. Tym niemniej jednak warto się zastanowić i pomyśleć nad tym, aby wypełnić choćby częściowo tę niepokojącą lukę w dorobku kulturalnym naszego kraju, bo czymże jest sztuka kościelna, jeżeli nie jednym z poważniejszych wkładów w przyczynę zebranych wzruszeń i wzniesień ducha ludzkiego, składającego się na całość kultury narodu.

Z tych to właśnie przyczyn o znaczeniu społeczno-religijnym, wychowawczo - moralnym, duszpastersko - liturgicznym, nauczycielsko - patriarchalnym, wreszcie jedności i powszechności Kościoła katolickiego, oraz niezmienności jego nauki, sztuka kościelna musi i powinna stworzyć pewien charakter artystyczny jako wartość uzupełniająca i wspierająca wszelkie poczynania w głoszeniu nauki Chrystusowej, zarówno pod względem duszpastersko - liturgicznym jak i estetyzującym dydaktycznie.

Sztuka kościelna jako kultowy wyraz religijnych uczuć i przeżyć rozmiłowanej duszy w prostocie i prawdzie, a nie w operowaniu umiejętnościami skalkulowanym w ramach kierunków artystycznych lub osobistych, niezmiernie popartych i nieuzasadnionych zapatrywań, tudzież poglądów ideologiczno - plastycznych, musi być położona na fundamencie liturgii Kościoła, jako najwyższym i najsubtelniejszym pięknie kościelnym poddyktowanym potrzeba mi kultu Bożego.

Pozycja sztuki kościelnej w nauczycielskim i apostołskim posłannictwie Kościoła nie spełnia wprawdzie żadnej zasadniczej roli i nie wpływa na zmianę jego nauki, nie wpływa również na kształtowanie się pojęć i ugruntowanie Prawd Wiary Świętej, nie stanowi również ani zasadniczego założenia w budownictwie kościelnym, ani istotnych pojęć i podstaw w kulcie i liturgii, jednak jest czymś, co stwarza pewien podniosły charakter i nastrój, oddziałujący swoją oprawą i właściwościami przepychu na psychikę i duszę ludzką w wyjątkowo interesujący, pociągający i zrozumiały sposób.

Poza tym jest najpiękniejszym podkreśleniem słynnych wyrazów zewnętrznej służby bożej, apostołstwa i kultu. Dlatego też warto pomyśleć o sprawie sztuki kościelnej jako o konkretnym przedmiocie w sensie naukowym, który niewątpliwie przyczyni się do poprawy nie tylko samej struktury sztuki kościelnej w sensie zewnętrznym, ale bezwzględnie oddziaływać będzie na kształtowanie się spraw duszpasterskich, jako istotnego posłannictwa Kościoła. W tym dziele odbudowy sztuki kościelnej musi zająć pierwsze miejsce duchowieństwo przez odpowiednie przygotowanie się już w seminarium duchowym do nawiązania ścisłej współpracy z artystami i wszelakiego rodzaju artystami, pracującymi dla Kościoła. Duchowieństwo powinno być pionierem tej sztuki twórczo-

plastycznej i swoim rozumieniem i pojmowaniem spraw sztuki kościelnej powinno emanować i wyraźnie kształtować wszystkie poczynania plastyczne na terenie Kościoła.

Pracę pionierską około podniesienia wartości twórczych sztuki kościelnej, należy rozpocząć od podstaw i to nie od strony piasty, której właściwie poprawiać ani zmieniać nie trzeba, ale od strony wewnętrznej w sensie podniesienia użyteczności w zadaniach i celach Kościoła i ta właśnie praca przypada w udziale duchowieństwu.

Chwalisław Zieliński

Nadesłano

WYDAWNICTWA M. ARCTA
WE WROCŁAWIU 1947

M. Arcta — RAZEM CZY OSOBNO słowniczek 6.000 wyrazów pisanych łącznie lub rozdzielnie. Według przepisów Akad. Umiejętności z r. 1936 oprac. Irena Arctowa, wyd. II uzupełnione. Przejrzane przez prof. Uniwersytetu Wrocławskiego Stanisława Rosponda. Str. 140.

Ernest Seton-Thompson — DZIELNY ROGACZ. Opowiadania z życia zwierząt. Str. 160.

Inż. K. Podhorski-Okołów — EGZAMIN KIEROWCY. Repetytorium dla kandydatów na kierowców pojazdów mechanicznych. Str. 62 + 2 tabl.

MOJE KSIĄŻECZKI — Nr 3 Kotek w bocianim gnieździe. Str. 16.

Nr 4, Winszujemy tatusiowi i mamusi. Str. 16.

„KSIĄŻKA” 1947

Adam Schaff i Leon Brum — POGADANKI EKONOMICZNE, wyd. III. Str. 128.

Dickens Karol — DAVID COPPERFIELD. Powieść, tomów 3. Przekład Karoliny Beylin, okładka i ilustracje Leopolda Buczkowskiego. Str. 1.078.

Krzemieńska Lucyna — O LICHU I BIEDNEJ JAGUSI. Wierszowana bajka dla dzieci z ilustracjami Adama Bowbelskiego. Str. 24.

Fredro Aleksander — DOŻYWCIE. Str. 120. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych Nr 13 pod redakcją Kazimierza Budzka. Opracował Zygmunt Szweykowski.

Konopnicka Maria — POEZJE. Str. 64. Wybór dla klasy III szkoły podstawowej. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych Nr 17 pod redakcją Kazimierza Budzka. Opracowała Zofia Rothertova.

Krasiński Ignacy — MIKOŁAJA DOSWIADCZYNSKIEGO PRZYPADKI. Str. 126. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych Nr 12 pod redakcją Kazimierza Budzka, Oprac. Stanisław Adamczewski.

Kraszewski Józef Ignacy — POWRÓT DO GNIAZDA. Str. 262. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych Nr 11 pod redakcją Kazimierza Budzka, oprac. Jadwiga Pietrusiewiczowa.

Romanowski Mieczysław — WYBÓR POEZJI. Str. 148. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych Nr 16 pod redakcją Kazimierza Budzka. — Oprac. Helena E. Kurkowska.

SPÓŁDZ. WYDAWN. „WIEDZA” 1947

Jerzy Piórkowski — NIEPODLEGLI. Str. 224.

Witold Kula — HISTORIA GOSPODARCTWA POLSKI 1864—1918. Str. 160.

Wanda Melcer — WYSPA SZCZESIA. Powieść. Str. 136.

Wolter — KANDYD czyli Optymizm Woltera — Powiastek Filozoficznych tom I, przeł. Boy. Str. 170.

Władysław Kisielewski — DYWIZJON LANCASTERÓW. Str. 174. Express Wieczorny 1947.

WYDAWNICTWO „KSIĄŻKA”
W WARSZAWIE

Bek Aleksander — SZOSA WOŁOKOŁOMSKA.

Ehrlich Stanisław — ISTOTA FASZYZMU.

Ehrlich Stanisław — PRZEWODNIK DLA RAD ZAKŁADOWYCH.

Morsztyn J. A. — WYBÓR POEZJI. Opracował Stanisław Furmonik. Str. XIV + 2nb + 22 + 6nb.

Melcer Wanda — 6 TYGODNI W ZSRR (Reportaże), str. 164.

Schaff Adam — WSTĘP DO TEORII MARKSIZMU, str. 312.

Strzebiński Stanisław — PRAWIDŁOWY ZARZĄD DOMU. Str. 64.

Undset Sygryda — KRYSZYNA CORKA LAWRA. Str. 164.

Zółkiewski Stanisław — ROZWAŻANIA NAUCZYCIELSKIE.

KALENDARZ UCZNIOWSKI „Książki” na r. szkolny 1947/48.

abstrakcjonizmu jak naturalizmu prowadzi do jednostronności i w konsekwencji powoduje dekadencję sztuki. W równorzędnym i harmonijnym rozwoju obu tych prądów, na pozór tendencji, widzi on właściwą drogę sztuki.

Nie kusząc się o ocenę pracy prof. Morelowskiego, z punktu widzenia jej wartości naukowych i historycznych, warto podzielić się z czytelnikami zainteresowanymi uwagami krytycznymi, które nasuwają się z punktu widzenia problemów sztuki współczesnej. Jak bowiem powiedzieliśmy wyżej, problem poruszony w tej książce jest szczególnie aktualny.

Autor tendencje abstrakcyjnej w sztuce wyprowadza i łączy ze sztuką dekoracyjną, głosząc jej rehabilitację. Nie ulega wątpliwości, że wiele istotnych sił twórczych wyzwało się i wyzwała w formie i tzw. sztuk dekoracyjnych i niepodobna przeprowadzić ścisłego podziału pomiędzy sztuką czystą (jak przyjęło się ją określać), a istniejącymi na jej peryferii gałęziami twórczości. Jedno

jednakże jest pewne, celem sztuki nie może być ozdabianie życia, wyraża się ona i upada, gdy to za rację istnienia sobie stawia. Wyodrębnienie sztuki twórczej poznawczej i autonomicznej jest konieczne mimo, że w konkretnych wypadkach przeprowadzenie może następczą trudności.

Doświadczenia i rezultaty sztuki współczesnej dowodzą, że może istnieć sztuka abstrakcyjna, niezależna od tendencji dekoracyjnych, sztuka, która w sposób nie wszystkim zrozumiały ale nieulegający wątpliwości, zgłębia tajemnice świata i odkrywa istotę treści otaczających nas przedmiotów i faktów psychicznych.

Jakkolwiek prof. Morelowski z życzyliwścią wyraża się o sztuce współczesnej, historyczna analiza dwóch tendencji sztuki nie jest przeprowadzona do najnowszych jej przejawów. Uwagi jakie są poświęcone abstrakcjonizmowi współczesnemu są ogólne. Zaś poważne zastrzeżenie budzi wzmianka o obrazach Żaka, stawiana jako jedyny przykład udanych i pięknych tendencji abstrakcjonizmu współczesnego.

Tydzień kulturalny

KONFERENCJA W TEATRZE POLSKIM

Dnia 6 października b. r. odbyła się w foyer teatru Polskiego w Warszawie konferencja prasowa poświęcona omówieniu dotychczasowej działalności teatru oraz jego planów na sezon bieżący. Konferencję prowadził dyrektor A. Szyfman przy obecności Jarosława Iwaszkiewicza, kierownika literackiego teatru, Dyr. Szyfman w dłuższej przemowie zreferował dotychczasowe osiągnięcia teatru, do których należy przede wszystkim stworzenie teatru o repertuarze stałym, zmontowanym częściowo ze sztuk „klasycznych”, częściowo współczesnych. W sezonie ubiegłym były tylko dwie sztuki autorów współczesnych („Penelope” i „Papu-ga”), natomiast aż siedem, należących do repertuaru klasycznego. Sezon obecny zapowiada odwrotnie tylko dwie sztuki „klasyczne”: Corneille'a „Cyda”, w tłumaczeniu Wyspiańskiego i Fredry „Pana Jowialskiego” (albo „Wielkiego człowieka do małych interesów”). Natomiast spośród sztuk autorów współczesnych mamy zobaczyć: Priestleya „Pan inspektor przyszłości”, Andersona „Joanna z Lotaryngii”, Simonowa „Zagadnienie rosyjskie”, Capka „Z życia owadów”, Shawa „Złote czasy króla Karola”. Ku wielkiemu żalowi dyrekcji repertuar nie przewiduje sztuk polskich autorów, ze względu na zupełny brak sztuk nadających się do wystawienia na scenie P. T. P. Tym niemniej dyr. Szyfman podkreślił kilkakrotnie, że w wypadku pojawienia się odpowiednio wartościowej sztuki polskiej — będzie miała ona pierwszeństwo przed zagranicznymi, przewidzianymi w repertuarze na rok bieżący. Mówiąc o planach rozbudowy teatru, a mianowicie o wybudowaniu nowego magazynu, dyr. Szyfman wspominał o projekcie budowy w podziemiach nowego budynku sceny kameralnej, której repertuar byłby uzupełnieniem repertuaru teatru Polskiego.

OBRONA I SĄD

Paweł Jasienica broni w „Tygodniku Powszechnym” brutalnych opowieści T. Borowskiego. Nie mamy zamiaru na ten temat dyskutować. Książki Borowskiego, o której pisze p. Jasienica, nie znamy. Fragmenty literackie, drukowane przez Borowskiego w rozmaitych czasopiśmie, są obrzydliwe i wcale zaszczytnej funkcji „walki ze złem”, o czym pisze p. Jasienica, nie spełniają. Są obrzydliwe przesła nie przez swój realizm, ale przez swą jednostronność. Borowski widzi w więźniach tylko zło, tylko ohydę, tylko brud, tylko zbrodnie. To przeczy rzeczywistości. Taki np. Wnuk w swych artykułach pokazywał także „czarne” strony życia obozowego. Ale pokazuje także rzeczy inne. Patrząc na więźniów Dachau tylko przez pryzmat Borowskiego, to znaczy zapominać o świętych, którzy w tymże Dachau umierali.

Ale, powiedzieliśmy, że o Borowskim teraz dyskutować nie będziemy. Chodzi nam o co innego. P. Jasienica pisze: „ktoś tam wyskoczył z żądaniem oskarżenia Borowskiego przed sądem Związku Literatów czy przed jakąś inną władzą (!?)”. Owszem: myśmy oskarżyli Borowskiego przed Sądem Koleżeńskim Związku Zawodowego Literatów Polskich o obrazę Zofii Kossak. Borowski bowiem, pisząc recenzję o książce Z. Kossak, zaatakował w niej osobę autorki „Krzyżowców”. Uważaliśmy i uważamy oskarżenie za rzecz słuszną. Sąd Koleżeński nie jest komisariatem Milicji. Nie jest to więc wprowadzanie milicji do literatury. Ale w literaturze powinny obowiązywać dobre obowiązki i na ich straży powinien stać

ZZLP. Wina Borowskiego nie polegała na tym, że napisał niesprawiedliwą recenzję, ale że zaatakował osobę Z. Kossak. Gdyby ograniczył się do recenzji książki, można by z nim było polemizować. Kiedy ktoś pisze stylem, jakby pisał kredą po parkanie, trzeba go chyba w tym stylu naśladować, albo — odprowadzić. My odstawiśmy hałaśliwego publicystę do... ZZLP.

Niestety — ZZLP aż do dziś dnia nie odpowiedziało na nasze wystąpienie. „Kuchenną drogą” doszły nas słuchy, że owszem myślnie długo nad tą sprawą, ale nic nie załatwiono, ponieważ Borowski nie jest członkiem Związku...

Być może. Ale Zofia Kossak jest członkiem Związku i została obrazona. A Sąd Koleżeński ZZLP powinien dbać o interesy swoich członków pokrzywdzonych a chwilowo w kraju nieobecnych z równą starannością, z jaką dba np. o interes p. J. Pytlikowskiego, który poczuwszy się obrażony notatką o swojej książce (a nie o sobie) wniósł skargę do Sądu Koleżeńkiego przeciwko L. Bartelskiemu. W tym wypadku Sąd Koleżeński chętnie i spieszenie wziął się do sądenia, nawet nie wchodząc w meritum sprawy czy wzmiankowana notatka jest rzeczywiście notatką napisaną przez Bartelskiego.

Ze zdaniem p. Jasienicy — bądźto go szanując i ceniąc — jak również ze zdaniem przemiłego kol. Kisiele nie możemy się zgodzić: Sąd Koleżeński ZZLP naprawdę nie jest milicją, ale właściwą instancją powołaną do korygowania zbyt nerwowych wyskoków adeptów literatury. Zbyt nerwowych — to znaczy takich, w których się traci miarę w słowach. Bo póki miarę zna — niech mówi! Niech mówi śmiało i odważnie! Jeśli nawet głupio mówi, życie go kiedyś mądrości nauczy.

CHRONOLOGIA WOJNY

Nakładem „Poligrafiki” w Łodzi ukazała się książka Jerzego Płazewskiego p.t.: „Druga wojna światowa”. Książka obejmuje zestawienie chronologiczne dziejów ostatniej wojny. Autor zastrzegł się we wstępie, że studium to zawiera wiele braków, których w obecnym momencie nie sposób jest uniknąć. Rzeczywiście braków jest dużo — ich obecność nie umniejsza jednak wielkiej wartości książki będącej zbiorem niezbędnych po prostu materiałów dla każdego, kto powraca myślą do dziejów ostatniej wojny. Układ książki jest jasny, notatki zredagowane starannie i ciekawie. Szkoda, że autor zamknął książkę układem poczdamskim a nie kapitulacją Japonii. Do najważniejszych braków chronologii trzeba zaliczyć prawie zupełnie pominięcie walk na morzu. I tak nie pisze Płazewski, że Niemcy użyczyli po raz pierwszy 20.XI.39 min magnetycznych, że 13.XII.39 odbyła się bitwa morską przy ujściu La Platy 10.IV.1940 pierwsza, 13.IV.40 druga bitwa morską o Narvik (w obu bitwach zostało zniszczonych 15 niemieckich okrętów wojennych różnego typu), że 12.XI.40 lotnictwo angielskie rozgromiło flotę włoską pod Taranto, że 28.III.41 miała miejsce słynna bitwa morską pod Matapan (zatopionych 5 okrętów wojennych włoskich), że 21.V.41 został zatopiony „Hood”, że 8.XII.41 Japończycy zniszczyli „Prince of Wales” i „Repulse”, że 4—8.V.42 miała miejsce bitwa morską na morzu Koralowym (7 zatopionych okrętów japońskich), zaś 3—6.VI.42 bitwa koło Meadwey (zatopione 3 japońskie lotniskowce).

W książce jest trochę błędów, np. Korpus Wilsona w Grecji liczył w ogóle 60 tys. ludzi, nie mogło więc być aż 300 tys. jeńców.

Innym brakiem książki jest nierówne traktowanie spraw polskich. Wrzesień 1939 r. opisany jest np. bardzo szczegółowo, Natomiast o okresie konspiracji pisze się mało i nie zawsze rzeczy najważniejsze (ciekawostki zastępują sprawy poważne). Notatka o powstaniu A.K. (15.VII.42) nie mówi nic, że A.K. powstało z trzech poprzednio istniejących formacji: PZP, NOW i B.CH. Notatki o powstaniu warszawskim są zbyt lakoniczne. Skoro mówi się o wyruszeniu pierwszego oddziału partyzanckiego G. L. (15.V.42) powinno się także powiedzieć o rozpoczęciu walki partyzanckiej przez oddziały „Udźrzenia”. Wymienione jednak szczegóły nie umniejszają wartości książki, która naprawdę jest wydawnictwem cennym i potrzebnym.

ATMOSFERA ZDENERWOWANIA

Jesień charakteryzuje się zdenerwowaniem wśród literatów. Może nie każda jesień, ale w każdym razie obecna. Zaczęło się od wybuchu Kolta przeciwko wszystkim, potem Zółkiewski wystąpił z obroną znakomitych pozycji artystycznych... Hertzka, Ważyka, Brandysa i — Rudnickiego (jak tworga to... do Rudnickiego — jedynego pisarza z prawdziwego zdarzenia na podwórku „Kucnicy”). Potem Badnarczuk ujął się za obrazonym Futralementem i pozwał Kotta przed trybunał historii...

(W ten sposób dzięki stanowczej interwencji autora „Święta kulo” autor „Rzeczywistości” został zrehabilitowany). Potem kłw z „Odrodzenia” wypowiedział kilka mądrych zdań, powołując się na autorytet Kazimierza Wyki, czyli redaktor „Twórczości” powściął się na autora studium w „Krajinie niepodobieństwa” Wreszcie Eleuter (aszkiwicz) z „Nowin Literackich” ni stąd ni zowąd nazwał „Najeźdźców” książką „nędzną artystycznie” i jego zdaniem „społecznie szkodliwą” — tych samych „Najeźdźców” o których, w tychże „Nowinach” niejaki Helzyński powiedział: że „pełna jest wstrząsających obrazów, doskonałych sylwetek, interesujących dialogów...”

Stanowczo jesień działa na nerwy.

WALNE ZEBRANIE W Z. Z. L. P.

Dnia 11 października odbyła się pierwsza część walnego zebrania oddziału warszawskiego Z.Z.L.P. Został wybrany nowy zarząd w składzie: Boguszewska, Szenkiewicz, Dobrowolski, Wat, Melcer, Szelburg-Zarembina, Zawieyski, Frekwencja na zebrańiu b. duża. Głosujących 70, głosów ważnych 61. Członkowie zarządu ustępującego wycofali swoje kandydatury do nowego zarządu. Zebranie nie zostało ukończone: będzie kontynuowane w czasie najbliższym.

O WARSZAWIE W POZNANIU

W poznańskim „Głosie Wielkopolskim” znana literatka, autorka niedawno wydanej na nowo „Córki”, Izabella Lutostawska - Wolikowska, zamieszcza krótki ale pełen barwy i życia szkic o Warszawie:

„Twórca Kanału Suezkiego, wielki inżynier Lesseps przepowiedział w mrokach naszej niewoli pod koniec ubiegłego wieku, że Warszawa stanie się w XX w. najznaczniejszym miastem Europy. Miał na myśli jej centralne położenie, wyjątkowo korzystne. Tu jest punkt wzniesienia wschodu z zachodem, południa z północą.

Ale nie to wcale zdecydowało i decyduje o potężnym wpływie Warszawy na naród, o jej władzy duchowej nad Polakami.

Ludność warszawska rzutka, lotna, pełna głębokiej kultury i zmysłu artystycznego; obdarzona rasową żywotnością mazurską; przesiąknięta jest rycznymi doświadczeniami, które ją nauczyły wiedzy przetrwania — ludność ta, sama w sobie nie byłaby źródłem natchnień stolicy ani sprawczynią wielkości Warszawy.

Czym jest to miasto, które z kompletnej zagłady, z na wskroś śmiertelnego ciosu danego przez barbarzyństwo niemieckie, dźwiga się szybko z gruzów i budzi ogólną cześć?

Skąd ta miłość niebawyła, z jaką wacają warszawiacy do nor, do piwnic, do izb lepionych jak gniazda ptasie i trwają w nich nie chcąc za skarby świata opuścić swego miasta? Trwają w postawie wprost — fanatycznej?

Na to by zrozumieć co się złożyło, sploło, sprzęgło na stosunek do Warszawy, trzeba na miasto spojrzeć uważnie.

Dookoła miasta gęsto, posępnie jak wieńce z cierni ciągną się wałami groby żołnierskie. Praga i Powązki 1794 r. Arsenał, Grochów, Wola 1830. Stoki Cytadeli 1863 i 1905. I znów Powązki wojskowe 1920 i 1939 rok. Cmentarz powstańcy 1944.

W Warszawie pojawiali się ludzie

z różnych stron wielkiego kraju, którzy kierowali naród do walki o wolność. A jakkolwiek sąd wyda historia o naszych powstaniach, faktem jest, że cnoty żołnierskie, męstwo, pogarda śmierci, zimna krew w obliczu niebezpieczeństwa, ofiara z życia własnego dla ojczyzny — porwują masy i podnoszą poziom ludzkich aspiracji do wyżyn, na których się wychowuje braterstwo człowieka.

To braterstwo bojowe zna dobrze Warszawa ze swej półtorawiekowej służby. Ono nadało temu miastu otoczonemu wałem grobów i wijącą się, piękną rzeką — zamię władzy i czarującą świetlistością.

Warszawa to jest pierwszy żołnierz Rzeczywistości. W tym trzeba szukać tajemnicy uroku jaki wywiera, wyższość jaką oddycha, wzniesień najczystszych jakie budzi.

Chyba też nigdy, ale to nigdy — pomimo bujnych swych dziejów — nie stanęła na takich szczytach ludzkiej postawy jak w ubiegłe lata inwazji niemieckiej. Nigdy w równym stopniu nie skupiła — niby jeden mąż w potężnym ręku — takiej mocy s a m o z a p a r c i a , równie powzecznej, płomiennej dumy i pogardy dla nikczemnego wroga, jak ostatnio na naszych oczach i za naszego życia.

Kto żył w Warszawie podczas okupacji — a była nas milionowa rzesza — doznał takiego przeobrażenia, jakiego doznaje się chyba tylko w — zakonie. Myśmy się czemuś poświęcali, na śmierć i życie i było nam z tym dobrze choć wkoło było straszliwe zło. Każdy nosząc broń, słuchając radia, kolportując pisma, przechowując Żydów, skoczków angielskich czy zbiegłych jeńców francuskich lub rosyjskich — czynił to sprawnie, bez wahań, naturalnie. Tak zawsze spełnia żołnierz rozkaz dobrego dowódcy, choć ten rozkaz grozi śmiercią.

SPROSTOWANIE

Wynik ostateczny 5:4. Tak jak w Szwecji. Gdzie? W numerze 39 „Dziś i Jutro” na stronie 3. Na dziewięć zamieszczonych tam moich wierszy 5 zawiera błędy zecerskie, cztery zaś są wydrukowane bezbłędnie. Jest to i tak duży sukces niżeli podpisano. Mogło być znacznie gorzej. Wynik ten jest bezwzględnie zaszczytny i daje nadzieję, że w przyszłości będzie można osiągnąć stosunek 5:5.

Błędy nie są specjalnie przykre oprócz jednego. Mianowicie w wierszu „Pieśniarz” zakończenie ostatniej stroki winno brzmieć: Wtedy laur dwa gołębie ci w

dziobach przyniosą

I na skroniach złożą, jak koronę — t w ó j — znak.

A nie swój t. j. gołębi znak, jak złożyli zecerzy. Jako zadość uczynienia domagam się złożenia gołębiach znaków na kapeluszach zecera i rektora, a oprócz tego

pozostaje z poważaniem

Marek Antoni Wasilewski

o kulturę prowincji*

Przed kilku miesiącami ukazała się na półkach księgarskich książka Juliusza Nowak - Dłużewskiego pod tytułem „Udział regionu kieleckiego w kulturze narodu”. Książka ze wszech miar ciekawa, sumiennie opracowana, zwięzła i ładnym stylem napisana. W swym ujęciu tematu rzecz nieznaną i może po raz pierwszy spotykana. Autor użył sobie za motto do swojej pracy wyjątek z książki Zeromskiego „Snobizm i postęp”, wyrażając pragnienie autora „Popiołów” wydania pracy zbiorowej p. t. Nida, gdzie znalazłby się źródłowe prace o Kielecczyźnie, szczególnie o Gbrach Świętokrzyskich i okolicach, dotyczące nie tylko przyrody tych okolic, ale danych historycznych, etnograficznych, geograficznych etc., etc. Praca Nowak - Dłużewskiego bierze szerszy pełny region Kielecczyzny w granicach, które nigdy ściśle określone być nie mogą i co do ich rozległości raczej musimy się umówić i wspólnie sobie ustępować a do pracy jaką sobie kiedyś zakreślił Zeromski mogłaby być przyczynkiem, tylko i jedynie dla samego autora z tej przyczyny, że p. Nowak - Dłużewski traktuje widocznie swą pracę jako popularną broszurę raczej propagandową, a nie naukową — nie podał źródeł, ażeby poszczególne działy jego myśli i syntetyczne wywody, zresztą bardzo

Recenzja książki Juliusza Nowak - Dłużewskiego, „Udział regionu kieleckiego w kulturze narodu”, wydanej w Kielcach w 1947 r. z zasięgu Wydziału Nauki Ministerstwa Oświaty w ramach „Świętokrzyskich Dni Kultury”, 88 str. druk.

trafnie sformułowane, mogli inni opracować, jak i metodę i źródła pracy autora skontrolować, aby pomóc do przygotowania takiej rozległej książki o jakiej marzył Zeromski.

A teraz przejdźmy do zasadnień merytorycznych: we wstępie autor, pisząc o północnej Małopolsce i o ścisłej Kielecczyźnie, mając na myśli głównie ziemie na południe od Łysogór położone — powiada, że w okresie historycznym dzielnicowym, aż do Łokietka, tj. mniej więcej od 1138 roku do około 1300 — nie się na tym terenie nie działo — tak ściśle nie było, bo opuścił autor całe zagadnienie kolonizacji wojskowej z okresu walk o tron krakowski 1228 — 1235 i 1242 — 1245 walk Konrada Mazowieckiego z Henrykiem Brodatym i Bolesławem Wstydlawym. Strony wojujące obsadzały teren walk swymi zwojennikami sprowadzonymi z Mazowsza i Śląska, a ta kolonizacja objęła teren od Wojnicza wzdłuż Nidy, Nidzicy, Szreniawy, Mierzawy, Mozgawy po Lelów i dalej w stronę Śląska. Kolonizacja ta pozostawiła po sobie ślady — element mazurski i śląski, osadzony na nizinie małopolskiej na południe i południowo - zachód od Łysogór miał wpływ na kształtowanie się późniejszych stosunków gospodarczych, etnicznych, oświatowych i kulturalnych. Ludzie przybyli spoza regionu wnieśli dużo teźny, dynamiki, różne walory kulturalne, a stawczy się z czasem ludźmi regionu nowe wartości wykuwali. W tej dziedzinie ciekawych odsyłam do prac prof. Wł. Semkowicza — roz-

sianych w przedwojennych rocznikach i miesięcznikach heraldycznych. To zagadnienie wymagałoby oddzielnego opracowania.

Następnie str. 16 — 17 — nie jest naukowo stwierdzone, że św. Czesław należał do rodu Odrowążów, raczej był ich krewnym po kądzieli (K. Górski — Ród Odrowążów w wiekach średnich — rocznik heraldyczny 1926 — 1927) Dalej str. 43 — Sprzątek Jordan z Jędrzejowskich Jaronowie a nie Jordanowie. Na str. 49 należało wspomnieć o W. Jaskłowski, który w pracy swej „Zarnowiec i jego okolice”, wydanej w 1910 r. we Lwowie, opisał i opracował te oklice pod względem etnograficznym, historycznym i gospodarczym, praca ta bardzo gruntownie i naukowo opracowana posiada bezcenne źródła dla dzisiejszych badaczy, poza tym opracował udział pow. jędrzejowskiego w powstaniu listopadowym i monografie szeregów wsi jędrzejowskiego powiatu, zebrał i wydanych łącznie przez siebie podpisanych w Monografii pow. jędrzejowskiego 1937 r. Str. 67 kasztelan Ludwik Łempicki żonaty był z Konstancją Sołtykówną, a nie córką Stanisława Popiela

Przytaczając te drobne uchybienia czynię to, aby je sprostować, przy rozszerzaniu w przyszłości książki J. Nowak - Dłużewskiego pod kątem pragnień naszego piewcy Łysogór Stefana Zeromskiego — koźdże życzeniem, aby jak najrychlej autor „Udziału regionu kieleckiego w kulturze narodu” prace tę rozszerzył i naukowo opracował.

Seweryn Borkiewicz

Stanisław Podlewski

Pokłosie »Przemarszu przez piekło«

Szeroki rezonans, jaki zyskał wśród Czytelników „Przemarsz przez piekło”, obliguje mnie do najściślej prawdy historycznej i ewokowania najbardziej pełnego obrazu tych walk.

Otrzymałem wiele listów z uwagami krytycznymi, z cennymi uzupełnieniami faktów, nazwisk i sprostowaniami błędów czy przeoczeń.

Nie sposób wszystkich przedstawić na łamach „Dziś i Jutro”. Uczynię to w wydaniu książkowym. Ograniczam się tylko do kilku najistotniejszych uzupełnień. Zamiast przytaczać owe nieścisłości daję nowe opracowanie lub uzupełnienie fragmentów.

W RUINACH BIELAŃSKIEJ I SENATORSKIEJ

Fragment, p.t.: „Trzaska uderza” („Dziś i Jutro” Nr. 21/81), powinien mieć takie zakończenie.

Trzaska orientuje się, że nie da się im dalej posuwać ku domom na Senatorskiej. Wszyscy zostaną wybiti. Próba przebiecia górą załamała się. Kilku ocalałym swoim chłopcom wydaje rozkaz do wycofania. Sam rusza ku Bielańskiej. Por. Prokop i podchor. Jastrzębiec biegną przez gruzy obok niego.

W pewnej chwili Trzaska ginie im z oczu w ruinach. Wśród błysków amunicji świetlnej przeskakują przez Bielańską. Udaje się szczęśliwie. Nagle Prokop odzywa się do Jastrzębca.

— Trzaski nie ma. Padł zabity, albo został ranny. Nie możemy go tak zostawić.

Stanął za węglem domu i woła ją ile tylko mają sił w gardle.

— Trzaska! Trzaska!

Głos ich ginie w jazgocie pepemów i nieustannych wybuchów granatów. Nagle Prokop coś mówi, zrywa się i chyłkiem biegnie przez szerokość Bielańskiej, wpada w niskie ruiny domu, zaczyna wołać i szukać Trzaski wśród ciał zabitych chłopców i dziewcząt. Dochodzą jakieś głosy. Podnosi głowę i dostrzega hełmy nie mieckie. Orientuje się, że to Niemcy, ostrzeliwują go. Zaczyna uciekać ku Bielańskiej.

Tymczasem Trzaska biegł naprzód ku domom na Senatorskiej za grupą chłopców z kompanii „Rudy”.

W PODZIEMIACH SZPITALA NA MIODOWEJ 23.

Fragment p.t.: „W szpitalu na Miodowej 23” („Dziś i Jutro” Nr. 35), po uzupełnieniu i sprostowaniu wielu faktów powinien brzmieć następująco:

W obszernej posesji Miodowa Nr 23 szpital połowy składał się z trzech podziemnych pomieszczeń, dawnych zakładów apteki miejskiej i kilku przyległych piwnic.

Okolo 130 rannych przebywało w nim, przeważnie z batalionów „Chrobry I”, „Parasol”, „Zośka”.

Przed południem ostatniego sierpnia bomby lotnicze zamieniły w usypisko gruzów pasaż Simonsa. Do szpitala zaczęto znosić rannych.

Wszyscy lekarze: mjr. dr. Dunin, dr. Wojciechowski, dr. Janeczka, i dr. Magdalena mieli ręce pełne roboty. Nie mogli nadać opatrunkom, operacjom i grzebaniom umarłych.

Na wieczór ledwie uporano się z rannymi, mjr. Dunin, komendant tego szpitala, wezwał dr. Magdaleny i oznajmił jej:

— Otrzymałem rozkaz odejścia kanałami do Śródmieścia wraz z lekarzami, personelem i rannymi, którzy

sami mogą poruszać się... Mąż Pani ciężko ranny... Zapewne Pani doktor będzie dzieliła z nim los...

— A co mam robić z tylu rannymi, jak postąpić, gdy wejdą Niemcy?.. Tu major załamał bezradnie ręce.

— Zostawiamy Pani, Koleżanko, carte blanche i chorągiew Czerwonego Krzyża. Niech ranni lepiej nie wiedzą, że odchodzimy.

W podziemiach zapanował dziwny ruch. Przed rannymi nie dało się ukryć przygotowań do odejścia, choć sanitariuszki Karolina, Janina, Ewa, Danusia, zdaje się wszystkie, zdecydowały się pozostać z rannymi.

Tej nocy kanałami nie dało się przejść, więc nad ranem powrócili do szpitala.

Znow przez cały dzień trwało w podziemiach ogromne podniecenie. Wybierano z sal rannych, którzy nadawali się do przejścia kanałami.

Wieczorem cała grupa rannych wraz z dowódcą udała się pod wiazy. W podziemiach szpitala pozostało 76 rannych.

Dr. Magdalena chodziła wśród chłopców, zajmowała się nimi serdecznie. Z matczyną miłością rozmawiała z nimi, gładziła ich rozwichrzone czupryny — może nie jeden z tych chłopców przypominał jej synka Marka, małego Bimbo, który zginął przed kilkoma dniami, gdy jej pomagał w pracy.

Z największym trudem udało się jej opanować przygnębiającą i podnieconą sytuację wśród rannych, którzy widzieli jak ich współtowarzysze odchodzą, a oni pozostają skazani na śmierć.

Na salach zapanował spokój. Wielu rannych dopiero co zasnęło.

Naraz z mroku odezwał się przejmujący głos wśród ciszy.

— Chłopcy! — musicie być przygotowani na śmierć. Wzbudźcie w sobie żal serdeczny za grzechy. Udzielę wam absencji in articulo mortis.

Wystąpienie kapelana nie przyniosło ulgi rannym. Spokój z takim trudem przywrócony przez dr. Magdaleny przyszedł odrazu. Żaden z rannych już nie zmrózł oka. Lekarze byli oburzeni na kapelana.

Daleko po północy powrócili spod wiazy dr. Janeczka i dr. Wojciechowski do szpitala. W ostatniej chwili zdecydowali pozostać na Starówce.

Nad ranem przyszła do szpitala dr. Przemysława, otrzymała od ppłk. Radosiławy rozkaz objęcia kierownictwa tego szpitala.

Od rana w szpitalu oczekiwano w napięciu wkroczenia Niemców, dr. Przemysława czyniła wszystko, aby uniknąć zadrażnienia i spowodowania dwetu Niemców, i uczynić znośnym pobyt rannych. Zwróciła się do dziewcząt.

— Zróbcie porządek. — aby Niemcy nie powiedzieli „polnische ordnung”.

Właśnie kiedy dziewczęta zrobiły porządek, a ksiądz kapelan w sąsiedniej sali odprawiał Mszę św., rozległ się straszliwy łomot, pogasły wszystkie świece od strasznego podmuchu wstrząsu.

Zewsząd padają urwane zapytania do dr. Magdaleny:

— Pani doktor co to?

Biała postać spokojna i opanowana, przechodzi do drugiej sali. W rękach błyska jej zapalniczka, płomień świecy kołysze się po ciemnych, wilgotnych ścianach.

Okazuje się, że samoloty rzuciły około ośmiu bomb, dwie z nich ugodziły w salę opatrunkową, gdzie byli ranni i sanitariuszki.

Dr. Przemysława wraz z kilkoma żydami rozpoczęła akcję ratowania zasypanych, lecz akcje ogromnie utrudniał ogień, szybko rozszerzający się.

Wśród gęstych tumanów gryzącego kurzu i dymu zaczęto przenosić rannych tuż obok do piwnic drukarni miejskiej. Potężne detonacje rozlegały się w pobliżu. Bombardowanie wciąż trwało. Wynoszono rannych z sali do korytarzyka.

Na dziedzińcu byli już Niemcy. Zjawili się lekarz niemiecki. Zapytywał o rannych żołnierzy Wehrmachtu, przebywających w szpitalu, wszyscy z nich stwierdzili staranną opiekę i równe traktowanie ich z powstańcami. I to zadecydowało, że wściekłość Niemców rozplynęła się i nikt po ich wkroczeniu do szpitala nie został zamordowany.

Akcja ratownicza wciąż trwała. Spod gruzów nie można było wyciągnąć sanitariuszki Ireny (Mierosławska Jolanta). Zasypana była po samą głowę. Od jej nog płomień ograniczały zwaliska, a nad nią wisiał ogromny blok żelazo - betonowy. W każdej chwili mógł zaważyć się, wciąż chwiał się. Siostra Anna ani na chwilę nie zważała na niebezpieczeństwo, niustannie robi niebezpiecznej zastrzyki z morfiny, aby usmierzyć jej nadludzkie bóle i ukrócić jej męczarnie.

Niemcy nieustannie zwracają się do niej, aby nie narażała się, lecz ona nie da się odciągnąć od niebezpiecznej współtowarzyszki.

Wszyscy ranni zostali wyniesieni z podziemi, za wyjątkiem tych rannych i sanitariuszek, które pozostały pod gruzami w sali opatrunkowej:

Joanna (Kraskowska Teresa), Elżbieta (Kraskowska Zofia), Irena (Mierosławska Jolanta), Paula (Erbrichówna Ludmiła), Baśka Dunin Teresa), Hala (Dobrzańska Stachna), Litka (Rajska Irena), Olenka (Michalska Aleksandra) i łączniczka Nina (Wyłężyńska Nina), z batalionu „Miotła”, „Marta” (z „Brody” 53).

Ten dziwny pochód rusza powoli z ruin szpitala. Sanitariuszki i mieszkańcy niosą z największym wysiłkiem rannych poprzecz gruzy. Dochodzą do Placu Bankowego, skąd część zostaje zabrana przez sanitariuszki, reszta z dr. Przemysławą przechodzi do szpitala Maltańskiego.

Większość zaś rannych ze szpitala na Miodowej dojechała około godziny 18-tej do szpitala Wolskiego.

JAK BYŁO NAPRAWDĘ ?

Po ukazaniu się fragmentów*), przedstawiającym próbę przebiecia się górą do Śródmieścia grupy powstańczej, z batalionu „Zośka”, spotkałem się ze zdaniem, że w tych najbardziej emocjonujących i dramatycznych momentach przeceniłem rolę por. „Jerzego” (Białoch Jerzy).

Mówiono mi, że po śmierci mjr. Jana i całego jego pocztu w ruinach Senatorskiej, por. Jerzy był zupełnie zgaszony i zrezygnowany, nie odgrywał żadnej aktywnej roli już do końca przebiecia.

Cała inicjatywa spoczywała w rękach ppor. Andrzeja Morro, dowódcy kompanii „Rudy”, a kiedy on został ranny kierował akcją i wykonywał jego rozkazy podchor. Witold (Morawski).

Muszę przyznać, że takim postawieniem sprawy byłbym zdziwiony, zaskoczony i zaintrygowany. Chciałem za wszelką cenę ustalić prawdę. Przeprowadziłem wiele rozmów z uczestnikami tego przebiecia, przestudiowałem książkę kpt. Jerzego „Walka w Poździe”**) i pamiętniki Trzaski.

*) „Dziś i Jutro” Nr. 25 i 26, 1947 r.

**) Kpt. „Jerzy” — „Walka w Poździe” — Paryż, 1946 rok.

Może warto tutaj zaznaczyć, że fragment tej książki, p.t.: „Ze Starówki do Śródmieścia”, wywołał tuż po ukazaniu się w tygodniku londyńskim „Polska Walczy”, wśród uczestników powstania, znajdujących się wówczas w Niemczech, wielkie larum, protesty i ostre repliki, zwłaszcza kpt. Trzaski (Konopacki Eugeniusz).

Tylko jemu z całej grupy szturmowej „Wigry” udało się przebić wraz z oddziałem (Morry).

Wówczas to Jerzemu postawiono zarzut, że przypisuje sobie wszystkie zasługi i całą inicjatywę w tych tragicznych momentach, że niezgodnie jest z rzeczywistością, jakoby on był „spiryтус mowennis” wszystkich poczyniń, słowem, że nie jemu zawdzięczać należy ów wspaniały żołnierski wyczyn i ocalenie całej grupy.

Przeczytałem również fragmenty zbiorowej pracy pamiętnikarskiej, przygotowanej do wydania książkowego, przez byłych żołnierzy batalionu „Zośka”. Były one zamieszczane w kilku kolejnych numerach „Tygodnika Warszawskiego” i „Robotnika”.

Nie spotkałem się tam zupełnie z faktami, aby por. Jerzy wydawał jakieś rozkazy i kierował akcją bojową przebiecia. W ogóle nie jest nawet wymieniany.

Tymczasem por. Jerzy w swoich wspomnieniach co kilka wierszy pisze... niespokojne spojrzenia chłopców uderzają we mnie, daję znak gwizdkiem... wystawiam ubezpieczenie... sygnał do natarcia dam ja... nawet, gdyby sytuacja wyglądała jak najgorzej, strzelać nie wolno, bez mojego rozkazu... zarządzam pogotowie, ale żadnych ruchów wykonać nie wolno bez mego rozkazu... szeptem daję ostatnie instrukcje Witoldowi i zwracam się do Andrzeja. Zapowiadam wszystkim, aby milczeli...

Nie sposób więcej mnożyć przykładów...

I teraz stanął przede mną pasjonujący dylemat...

Spotkania się z wybujałymi objawami chorobliwej megalomanii jednostki, bezsprzecznie dzielnej, aktywnej i ofiarnej, czy też zetknięcia się ze zbyt ostrym sądem grupy ludzi.

Zacząłem się zastanawiać, kto ma rację, które wspomnienia i relacje mają większą wartość dokumentarną — b żołnierze batalionu „Zośka”, czy relacje kpt. Jerzego, zastępcy dowódcy zgrupowania „Broda 53”.

I tu muszę przyznać, że zbyt uległem sugestywnemu opowiadaniu Jerzego, a przez co nieświadomie uszczupliłem sławę żołnierską ppor. Andrzeja Morro, pełnego i promiennego człowieka, świetnego dowódcę.

I nie tylko ja, bo i gen. Bór, w swoich pamiętnikach przypisuje wszystkie zasługi kpt. „Jerzemu”. A z nim powtarza ten sąd wielu innych.

Bezsprzecznie Morro dowodził podczas przebiecia ową grupą szturmową.

Por. Jerzy, jak i kpt. Trzaska po prostu dołączyli do tej grupy przebiecia dalsze losy.

Nie było potrzeby, aby Morro z racji ich starszeństwa ustępował dowództwa nad swoim oddziałem.

Gdyby to miało nastąpić — to obajby dowódczwo kpt. Trzaska, dowódca zgrupowania, a nie por. Jerzy.

Niemniej jednak sama obecność tych dowódców, o wysokiej wartości bojowej, musiała wpłynąć dodatnio na samopoczucie i inwencję Morry i wszystkich powstańców. Nie wyobrażam sobie, aby Jerzy, przy swoim impulsywnym charakterze, niespożytej energii zwoiowej i swojej odwadze

mógł siedzieć z założonymi rękami, zwłaszcza w chwilach, kiedy Morro ranny traci przytomność.

Zarówno Jerzy, jak i Andrzej Morro odegrali swoją ciężką rolę, jakie im narzuciły okoliczności.

CZYTELNICY PROSZĄ O WIADOMOŚCI.

Ostatnie fragmenty „Przemarszu przez piekło” spowodowały, że wielu Czytelników zwróciło się do mnie z prośbą o udzielenie im inormacji o ich znajomych, kolegach lub członkach rodziny. Wobec tego, że sam nie jestem w stanie tego uczynić, pozwalam sobie podać wyjątki z ich listów do wiadomości ogółu Czytelników, z uprzejmą prośbą o nadesłanie wiadomości do redakcji „Dziś i Jutro”.

Pani Boguszevska, Wrocław — zapytuje o swojego brata kpt. Podhoreckiego (Hasło Józef). Był on oficerem do specjalnych zleceń w zgrupowaniu „Broda 53”. Kpt. Jerzy w swojej książce „Walka w Poździe” podaje, że w czasie przebijania się górą, w dniu 31 sierpnia 1944 roku, spotyka kpt. Podhoreckiego i sanitariuszkę Irenę.

Pani Malcowa, Wawrzyszew — zapytuje o swojego brata „Juliusza 1046”, (Chomicz Juliusz), z batalionu „Antoni” — oddział Narodowej Organizacji Wojskowej. W dniu 2-go sierpnia rano na Woli poprowadził on oficerski w sile 15 podchorążych w stronę Koła. Zapewne natknął się na zasadzkę nieprzyjacielską i zostali wybiti. Powrócił tylko dwóch.

Pan Wincenty Kublicki, Jabłonkowo Pomorskie — pragnie dowiedzieć się o swojego syna architekta Czesława Kublickiego. Przed wojną był on inspektorem budowlanym w Gdyni. W czasie okupacji zajmował kierownicze stanowisko w obozie narodowo syndykalistycznym. W dniu 20.II.1942 roku został aresztowany i osadzony na Pawiaku i od maja tego roku nr ma od niego wiadomości.

Pan Janusz Łyczko, Warszawa — zapytuje o dr. Bonawenturę Kamińskiego, zamieszkałego w Warszawie, ul. Króla Alberta Nr. 4, ofiarnego działacza niepodległościowego, złapanego przez Gestapo tuż przed powstaniem. Przebywał na Pawiaku!

Pan Jerzy Schiffers, Warszawa — zapytuje o swojego syna ppor. Skalskiego (Schiffers Tadeusz), dowódcę 2 plutonu, kompanii „Maciek”, batalion „Zośka”. Widziano go ostatnio 15 września w rejonie Wilanowskiej.

Uprzejmie proszę o skomunikowanie się ze mną lub udzielenie mi informacji:

- 1) por. Zaręba, który po kapitulacji oddziałów na Żoliborzu przedarł się do Boernerowa;
- 2) Rodzine lub kolegów por. Stolarza (Kamler Jerzy), dowódcę oddziału osłonowego 11 — 12;
- 3) Chciałbym skontaktować się z uczestnikami walk o katedrę królewską św. Jana.

Stanisław Podlewski

NOWOŚCI! NOWOŚCI! KS. EUGENIUSZ DĄBROWSKI DZIEJE PAWŁA z TARSU

Obszerna (652 str.) monografia o świętym Pawle, Apostole narodów, z uwzględnieniem badań archeologicznych i religioznawczych.

Warszawa — 1947

Życiyna Księgarska:

Marszałkowska 34

Roman Tomczyk

Do proboszcza z Trześniowa o Nim samym

Był stary i chodził kroczeniem drobny. Chociaż mieszkał od dwudziestu czterech lat w wioszczynie zagubionej wśród lasów świętokrzyskich znano go daleko; może dlatego właśnie, że tak długo był proboszczem w jednym miejscu — a może dlatego, że przebywając od niepamiętnych czasów między chłopstwem nabrał manier statecznych gospodarzy i nawet na kazaniu mu się zdarzało, że użył jakiegos gwarowego słowa.

Podobno biskup nie przenosił go na żadną inną parafię ze względu na pszczoły, jakich wiele hodował. Rzecz to u księży, dość częsta. Natomiast wikarzy zmieniali się dość często — właśnie dzięki onym owadom. Ten, którego poznaliśmy nie był też odmiennego zdania.

— Dobry jest kiadź jubilat, dobry. Ale przez te robaki to sutanna ze mnie lada dzień..

I pokazywał wytarte łokcie. Kiwał głowami.

— Proszę pana, jak przyjdzie chłop albo parobek o pogrzeb czy to chrzciny i mówi: pieniędzy nie ma, to on tylko książkę wyciąga i powiada: zaszadzić tyle i tyle lip albo akacji tam i tam. Na wiosnę sprawdzę.

Wiedzieliśmy, że sprawdza. Były wypadki, że picrunował. Nie dziwiłiśmy się, że wikary krytycznie oceniali ową działalność społeczno - miodonośną.

— Lip a lip u nas i akacji. A tu sutanna..

Kiedyś, w czasie kazania zaczęły się robaki roić. Kościelny, usłyszawszy ożywiony szum wszelkimi sposobami dawał znać z drzwi zakrystii o doniosłym wypadku. Trzepał rękami udając fruwanie, pokazywał palcem na ogród, wreszcie przyniósł siatkę i pokazał ją z daleka. Ludzie myśleli, że zwariował. Gdy i to nie pomogło — a wiadomo, że nie ma powodzenia w pasiece, gdy pszczoły uciekają, wylazł na schodki ambony i szepnął tak, że pół kościoła słyszało:

— Księżę lubilacie! Ady się roją!

Chłopcy, służący do mszy widzieli, jak stnię tylko zrzuciwszy, w komiży i z kadzielnicą wyrwaną z ręki ministrantowi pobięgi podkładał pszczoły. Czekali pół godziny na sumę.

Ze kazanie zakończyło się w połowie zdania mocnym „Amen” zapewne nie według planu, nie zmieniło w niczym jego wartości. Kusi człowieka przekazać jeśli nie wieczności, to przynajmniej większej nieco liczbie wiernych, niż ta, która była w Trześniowie, te jego z chłopska mówione sentencje napomnienia: o zarozumiałości („jeśli ci się здаје, żeś mądra, ładna i gospodarna, to się tylko pokłódź ze sąsiadką; ona ci powie, jaka naprawdę jesteś”) o ubiorach przyzwyczajonych („ksiądz biskup list przysłał, co byśta do kościoła pocziwie ubrane przychodziły. Nie z takim dekoltem, że jak proboszcz z ambony spojrzy, to posadzkie przez niego widzi... Najgorszy grzyb muchomor, najwięcej się pcha na oczy...”) i o ożenku („Przychodzą do mnie o radę, czy żenić się, czy nie żenić. Przyjacielu, cokolwiek uczynisz, będziesz żałował”).

Kiedy na wsiach zaczęły się także łapanki do robót, gdy od czasu do czasu samochody żandarmerii i Wehrmachtu wniecały mnóstwo kurzu na mizernej drodze do wsi proboszcz wyraźnie posmutniał. Tak nam opowiadał. Złośliwi twierdzili, że przyczyną było to, iż sławna książka wzięta w łeb. Nie można było liczyć na sadzenie drzewek, gdy ten, co tego miał dokonać mógł jutro nie żyć, lub wyjechać w nieznaną. Bardzo wielu ludzi wtedy przychodziło z interesami: aby jego syna jakoś zataić w spisie rocznika przeznaczzonego do Bandienstu; aby mu wystawić jakąś metrykę po dawno zmarłym nieboszczyku, na podstawie której można było otrzymać kennkartę (czyli jak tam mówiono: kręciłkartę) i posługiwać się obcym nazwiskiem. Pszczołoman załatwiał wszystko. Nie z odwagi i nie z nieświadomości, czym to pachnie. Bał się. Opowiadał wtedy

petentowi o wszystkich nieszczęściach, jakie można na siebie ściągnąć i, mimo to podpisywał papierki.

Był taki czas, że zielone władze poleciły duchownym i nauczycielstwu zachęcić ludność do wyjazdu na roboty. Tu znowu lęk chwycił starego za włosy. Władze zgroziły — a tu przez gardło słowo zachęty do faterlandu przejść nie mogło. Litościwy Panbóczek natchnął sługę swego szczęśliwą myślą: po sumie, ręce po napoleońsku założywszy wylazł przed kościół i ze schodków wbił bazylijskiowy wzrok w tłum parobków, zapalających sobie papierosy. Gdy zaś ci, pewni, że pocznie im zjadliwie wypowiadać różne historie z poza stodoły i z wesel poczęli czmyhać sprzedęży, pokrzykiwał z nimi wesoło:

— Ej! Zaczekajta! Zaczekajta!.. A może byście tak na roboty do rajchu pojechali?... Nadajecie się, nadajecie... „Jędrusiowa dola” przypędziła nas jesienią w tamte lasy. Byliśmy rozbitci i w rzeczywistości i na duchu, za ledwie kilkunastu ludzi. Nadarzyła się wnet okazja jakiegoś takiego zapatrzeńcia się na zimę: miał jechać samochód z Kielc z prowiantami i butami dla Todta.

Wszystko zaczęło się tak, jak trzeba: Siwy, który siedział z lornetką na drzewie, wrzasnął: Jedzie! i zlął szybko na dół Od drzewa do drzewa, w poprzek drogi przeciągnęliśmy trzy mocne druty, po czym czekaliśmy grzecznie, co będzie. Samochód przyhamował i wtedy dopiero pokazało się, że to nie ten oczekiwany. Luft waffe czy inne łajzy; ze trzydziestu. Gdy zaczęli wyskakiwać spod plan-deki puściliśmy po nich serię ze stenów, oni do nas to samo. Michał oberwał w łokieć.

Na kurację udał się do znajomej nauczycielki właśnie w Trześniowie, oddalony o kilka kilometrów. Po kilku dniach jednak wrócił i oświadczył, że, aby czas wyzyskać, chce się ożenić. Trudność była w tym, że do tego potrzeba zapowiedzi, papierów no i księdza, Sierżant Mak, w cywilu

organista przypomniał sobie, że istnieje przepis prawa kanonicznego zezwalający udzielić ślubu wódczom bez papierów za poświadczeniem tylko dwu wiarygodnych świadków. Kandydatów, jednak na „wiarygodnych” nie było, choć Michał namawiał z niezmierną gorliwością, chlubnie świadcząca o wdziękach cwej żarówki w oświecaniu publicznym. Sytuacja zmieniła się dopiero wtedy, gdy Michał napomknął, że prócz wielu rad i zalet sługa Boży posiada lornetkę. Z rzeczoną przyrzędą cpyłycznym wylazi na ganek po niesporach, a czasem i po sumie; bacznie pilnie, która dziewczucha „wystawa” lub „wodzi się” i któren stateczny gospodarz pomyka ku szyldowi, głoszącemu ślub sprzedaż towarów mieszanych, ale gdzie handlowano głównie wysokoprocentowym sokiem z kartofli. Te swoje spostrzeżenia obwieszcza ludowi w wypadkach uporczywych — zaś lud wielką ma bojaźń przed owym wynalazkiem i jego posiadaczem. Usłyszawszy to Mak ofiarował się razem z Nogą „załatwić” Motywował to tym, że ma większe od innych prawo do lornetki. Ale wrócił bez niej, natomiast z poleceniem od proboszcza rozbicia fabryki bimbru. O ślubie nie było mowy, przed wykonaniem powyższego polecenia.

Porucznik Głóg naklął się i nawzywał — że niby nikt mu nie ma nic do nakazywania. Ale fabryka mleka od wścieklej krowy przestała istnieć.

Michałów ślub odbył się oczywiście, jak Bóg przykazał o północy czy coś koło tego, przy zamkniętych drzwiach kościoła. Byliśmy wszyscy a prócz nas jedynie nocny stróż, kościelny — indywiduum z wielką trąbą i gospodyni, głucha, jak pień. Mak grał na organach tak pięknie, że gdybyśmy nie wiedzieli, że gospodyni nie słyszy, myślelibyśmy, że dlatego pochlipuje.

Zasię, kiedy po ślubie składał stary życzenia młodej parze, prócz wielu innych cennych rad, gwarantujących

szczęśliwe współzycie, taką także wygłosił:

— A już jutro, moje dziecko, obiad przypał. Na drugi i trzeci dzień to samo. Dopiero na czwarty dzień, jak się patrzy ugotuj. Wtedy cię mąż pochwali i pomyśli: dobra jest moja żona. Nic dziś obiadu nie przypaliła.

Właściwie, gdyby dziś spróbować wyliczyć jego zasługi, trudno by było znaleźć wśród nich niebotyczne i wielkie. Małe to były sprawy owej jesieni. Jakies tam całe buty temu, komu z nóg zlatywały — przedpotopowe buty z gumami, „sztyblety”, jakiś meldunek wtedy, gdy po okolicy kręciła się ekspedycja karna, przewieziony do miasteczka, gdy nie trudność ukrycia go, ale wygląd przewozonego był niebezpieczny, lekarstwo za kilka złotych, wreszcie maść na robactwo — to naprawdę niewiele. Ale gdy dziś się wspomina tamte dzieje — z perspektywy czasu widzi się dopiero najważniejsze: dobre, choć nieraz uszczypliwie słowo, uśmiech, rozjaśniają zachmurzone myśli, gdy dokoła nic wesołego się nie działo.

Trafiliśmy na tego starego akurat wtedy, gdy było myślom ciasno. Jakoś tak jednym słowem cz się z dniem krótkim i zwycięzłym potrafił na własny tor nastawić to, co się z koleiny wysunęło; czasem felczer w ten sposób leczy zwichnięcie ręki czy nogi, krzepko kłapnąwszy po stawie. Gdy rozgorzała raz dyskusja między umiarkowanymi a radykałami o przyszłym państwie zakończył ją krótko i wężowato: — było raz dwu łysych i kłócili się o grzebień.

* * *

W piersi się biję, że te rzeczy wycałam: jestem winien. Ale jeszcze więcej jest winien wzmiankowany Michał. Spotkałem go niespodzianie po raz pierwszy od tego dawnego czasu, kiedy to chadzałem na plebanię nocką i porankiem bladym, „chłopcy z AK” w celach mocno Cię, duchowna osobę u władz GG kompromitujących. A najwięcej winna jesień, boży wynalazek. Taką samą, jak wtedy, gdy odeszliśmy bez pożegnania. Przeto posyłam Ci, osobę duchowna i uszczypliwą wraz z zapomniałym pożegnaniem Twe własne słowa odbite jak słońce lusterkiem — i najpiękniejszą rzecz na świecie: uśmiech.

Zbrodnia w Dzielnicy Północnej

Stefan Kisielewski (Kisiel)

5

Gerald Ludwik inżynier, doktor, profesor zwyczajny nauk fizyko - chemicznych. Urodzony w r. 19... w X... gdzie ukończył szkołę realną. W r... uzyskuje tytuł inżyniera chemii; w r... tytuł doktora nauk fizyko - chemicznych z prace dyplomową, dotyczącą pierwiastków promieniotwórczych. Od r... jako stypendysta rządowy studiuje kolejno w Paryżu (u Joliot), Londynie i Nowym Jorku. W roku... powołany na katedrę nadzwyczajną fizyko-chemii. W okresie wojny członek Tajnej Rady Obrony Kraju; odznaczony dwukrotnie Orderem Zasługi za szereg wynalazków, zastosowanych w dziedzinie uzbrojenia armii. Po wojnie odbywa kilka podróży naukowych za granicę. Dł r... profesor zwyczajny chemii fizycznej, prowadzi Laboratorium Badań Specjalnych, przy udziale starszego asystenta Karola Hagewanda i asystentki Alicji Dillon. Jest członkiem honorowym szeregu instytucji w kraju i za granicą.

Komisarzowi Gromelowi oczy wychodziły z orbit. Pełz ciekawych wiadomości, ile poszłał i w dodatku — Hagewand! Komisarz już dawno przypomniał sobie, skąd znał to nazwisko. Karol Hagewand i Henryk Malton byli inicjatorami a także przywódcami głośnego przed laty napadu na gmach Ministerstwa Administracji i Sprawiedliwości, napadu dokonanego przez studencką organizację nacjonalistyczną „Naród Przebudzony”. Błyskawicznie działającym spiskowcom udało się wtedy obsadzić na dwie godziny gmach Ministerstwa, gdzie zniszczyli tajną kartotekę osobową i szereg aktów, dotyczących rozmaitych procesów politycznych. Policja i wojsko zlikwidowały „okupację”

gmachu, większa jednak część napastników zdołała zbiec. wśród nich przywódca organizacji Henryk Malton, o którym od tego czasu zaginęł. Ujęto natomiast jego zastępcę, inżyniera Karola Hagewanda, któremu wymierzono karę dziesięciu lat więzienia. Później nastąpiła amnestia, „łagodny kurs”, potem przedwojenna gorączka, wreszcie — wojna. Najwidoczniej był to ten sam człowiek — ciekawo. Gromel jeszcze raz sięgnął do Leksykon Akademii.

Hagewand Karol Anatol, inżynier chemik, starszy asysten przy katedrze chemii fizycznej, kierownik Laboratorium Badań Specjalnych prof. Galarda. Urodzony w 19... w stolicy, od r... studiuje w Akademii, w r... uzyskuje dyplom inżyniera i powołany zostaje na stanowisko asystenta przy katedrze chemii nieorganicznej. Przerzuwa pracę w r... W czasie wojny służy w artylerii, potem w broni pancernej, ranny trzykrotnie, odznaczony Orderem Zwycięstwa; w stopniu kapitana przeniesiony do Wojskowego Biura Wynalazków. Po zakończeniu wojny obejmuje spowrotem pracę w Akademii.

Tak — to był ten sam Hagewand: data porzucenia asystentury przed wojną zgadzała się z datą zamachu Maltona. Węc ten obdarzony bujną przeszłością polityczną i naukową, były oficer frontowy miał, według informacji tajemniczkiej nieznanym, porwać zwłoki swojego profesora, ale czy był on również zabójcą? A kto zabił Luizę Lore?

Na wspomnienie wczorajszego wieczoru komisarz popadł znowu w przykrą zadumę, z której wyrwały go były na chwilę ciekawe wiadomości zawarte w Leksykonie. Nie mógł so-

bie darować, że dopuścił do zbrodni, mając tylu ludzi, w tak napozór wykluczających wszelką nową zasadzkę warunkach. Dozorczyni — zeznał policjant, któremu zlecono obserwowanie jej, poszła na chwilę do mieszczącego się w podwórzu ogólnego ustępu. Policjant pozostał w bramie „bo było zimno”. (Coż to za łajdak! zgrzytnął w myśli Gromel). Dozorczyni nie wracała około piętnastu minut; to wreszcie zainteresowało „łajdaka”; skierował się on w głąb podwórza, świecąc sobie latarkę. Drzwi ustępu były otwarte, przed nimi na mokrym bruku podwórza leżały zwłoki Luizy Lore. ze straszliwie zmasakrowaną, rozmiążdżoną głowę.

Natychmiastowe gwałtowne poszukiwania zabójcy, wszczęte przez ogarniętego istotną furrią komisarza nie dały żadnego rezultatu. Morderca musiał znajdować się w domu — jedyne wyjście było przez bramę, a bramy strzeżono cały czas. Komisarz zdecydował się nawet na zupełne bezprawie: nie posiadając urzędowego nakazu dokonał drobniagowej rewizji wszystkich mieszkań, mających wejście od podwórza. Odrzuca zresztą na pierwszym piętrze „napotkał” gwałtowny opór. Mieszkał tu bardzo wysoki urzędnik państwowy, tak wysoki, że Gromel mimo całej swej furii zawałał się przez chwilę odczytawszy na drzwiach kartkę:

Dr. Aleksander Pikron

Radca Tajny
Zastępca Dyrektora Departamentu
Politycznego

Ministerstwa Administracji i Sprawiedliwości
Wahanie komisarza trwało jednak bardzo

krótko: zbrodniarz, jeżeli był w tym domu, musiał zostać odnaleziony — trzeba absolutnie przeszukać wszystkie mieszkania i nie dopuścić do jego ucieczki.

Tajny radca okazał się ni mniej ni więcej, tylko zezowałym, niemiłym człowiekiem z baru, tym samym, z którym komisarz stoczył przegrany w zasadzie pojedynek na spojrzaniu. Powrócił on (radca oczywiście) do domu w dwadzieścia minut po komisarza (policjant w bramie zanotował to skrupulatnie), był w szlafroku, w pantoflach i kategorycznie nie zgadzał się na przeprowadzenie rewizji, protestując skręklwym, płaskim, żabim głosem. Gromel wylegitymował mu się, licząc na urok swojego nazwiska — nigdy dotąd zrezytał tak nie postępował — lecz niewiele to pomogło. Wreszcie, mimo sprzeciwu gospodarza, rewizja została przeprowadzona prosto siłą, przy akompaniamencie pisków i łez żony, trojga dzieci tudzież służącej radcy, oraz wściekłych syków i skrzeków jego samego. Dr. Pikron zapowiadał odwołanie się do ministra, sprawę dyscyplinarną, skargą sądową i inne rodzaje zemsty, lecz komisarz niewiele się tym przejmował — zaciął się i robił swoje. Rewizja zresztą nie wykryła nic ani nikogo, to samo, było na drugim piętrze, gdzie mieszkał stary administrator domu z żoną, a także na trzecim, zajmowanym przez dwóch równie sławnych wyrednianych dziwnaży muzyków. Przeszukać można również i strychy — przejścia do innych domów nie było. Morderca znikł, jakby się zapadł w ziemię — albo też był nim któryś z lokatorów owych trzech mieszkań. Tajny radca? Administrator? Jeden z muzyków? Diabli wiedzą — wszystko to przecież stare grzyby a cios, według orzeczenia doktora Stiena zadany został jakimś ciężkim przedmiotem; żądać go musiał człowiek, odbarzony potężną siłą.

Dr. Stien przybył po zwłoki późnym wieczorem, wezwany telefonicznie przez komisarza. Przed tym jeszcze Gromel skontrolował, skąd

dzwoniła tajemnicza informatorka. Mógł to zrobić, ponieważ, odwołany przez policjanta, nie położył był słuchawki na widełkach. W centrali telefonicznej, do której zadzwonił z tego samego narożnego baru poinformowano go, że aparat prof. Galarda połączony był z automatyczną rozmównicą publiczną, znajdującą się w Dzielnicy Wschodniej. Nie na wiele się ta wiadomość przydała!

Gromel rozstawił po całym domu policjantów, przybyłych na złuzowanie pierwszej grupy. Dowodził już nimi ozdrowiały sierżant Kalk. W jego asyście komisarz przeszukał jeszcze raz — bezskutecznie — wszystkie mysie dziury w całej kamienicy. Noc spędzili niemal bezsenność — ale nic się już nie wydarzyło — tylko wicher huczał i wył potępieńczo aż do rana.

Tak, tak — zadziwiająca i straszna sprawa — właściwie zupełnie bez analogii. W dodatku autorytet komisarza mocno w niej jak dotąd ucierpiał. Gromel z psychiczną zgarą i — co gorsza — z nieczystym sumieniem myślał o sprawozdaniu, jakie będzie musiał złożyć pułkownikowi Nordowi. A jeśli szef nie ograniczy się tym razem do paru chrząknięć i poklepywania po plecach, lecz powie coś zgoła przykrego? Właściwie — byłoby to zupełnie uzasadnione. W dodatku sprawa nieprawnej rewizji u tajnego radcy może wywołać fatalny, bezprzykładny, kompromitujący skandal. W nieugannej karierze komisarza byłby to pierwszy tego rodzaju wypadek.

Komisarz wstał i przeszedł się po swoim pokoju biurowym, dokąd właśnie dostarczone mu wykazy ewidencyjne. Biurko, krzesła, lustro i telefon — oto było całe umeblowanie. Okno okratowane — nie wiele właściwie jest to światła, zwłaszcza w ten szary i mglisty dzień, który nastąpił po całonocnej wichurze. Komisarz zajął w lustro — spoglądał na stamtąd twarz wymizerowaną, zgnębioną, pokrytą zmarszczkami głębokiego zafrasowania. W oczach tliło się zniechęcenie, usta miały grymas gorzki jak żółć alkoholiaka. W takim stanie nie widział siebie chyba od bardzo już wielu lat.

Alóż to jest nie do zniesienia! — pomyślał na głos. Głos miał schrypięty, jak kura w deszczu. Poszlaki — do diabła — poszlaki — cała fura, cała rzeka, poszlaki! Hagewand — asystent profesora wynalazcy, dawny zamachowiec — to może być sprawa polityczna, szpiegowska, wojskowa, licho wie jaka. Lokatorzy — przysłuchać ich dokładnie, drobiazgowo, tego przekłętę radcę również. Pójść do rejenta Randena, zobaczyć testament profesora — w dodatku Galard mieszkał dawniej w tym samym domu co rejent, może nawet wprost u niego — Rzymski Żulek 15 — to ciekawo przysłuchać męża Luizy Lore, który nie powrócił na noc do domu — nikt z lokatorów kamienicy nie wiedział, w jakim Urzędzie Telegraficznym go szukać — gdy komisarz o szóstej rano opuszczał ulicę Balkonową, mąż zamordowanej jeszcze się nie zjawił. Napisać do policji w X... żeby przysłali raport ze sprawy Luizy Lore o „zakłócenie porządku publicznego”. Pejechać samemu do X... Masz roboty, masz! Lecz jakoś nie palił się do tego wszystkiego — był zmęczony — chyba po raz pierwszy w życiu. — To jeszcze skutek tamtego ogłuszenia — pomyślał. Lecz stwierdzenie przyczyny takiego faktu nie wiele pomaga, jeśli chodzi o jego skutki. Zresztą Gromel wiedział, że przyczyna fizyczna nie była tu najistotniejsza. Ciało jest chore, bo duch jest chory. Jedna iskra psychiczna, jeden promień światła w ciemnościach, jeden błysk natchnienia, które od przedwczoraj niemal go opuściło — a ciało poderwało by się jak zgalwantizowane.

W swej wędrówce po pokoju komisarz zatrzymał się przy oknie i machinalnie spojrzął przez kratę na ulicę. Chwilę stał jak senny wódz bezmyślnym wzrokiem po mroku jezdnym, gdy nagle w powierzchności jego zaszła niezwykła zmiana. Otworzył usta jak do krzyku, potem zamknął je gwałtownie, ale się dalej wypatrując czegoś na ulicy, skamieniały, wstrząsnął, wprost spiorunowany raptownym jak błyskawica olśnieniem. Oczywiście! NatURALNIE! Ze też dureń, bałwan, ślepiec nie zauważył tego wczoraj — przecież to jasne jak słońce w biały dzień!! Jasne i proste!!

Naraz zadzwonił telefon. Gromel podniósł słuchawkę automatycznie, jak w kataleptycznym śnie.

— Hallo! — wychrypiał.

W słuchawce odezwał się znajomy głos kobiety:

— Hallo — tu sekretarka pana pułkownika Norda. Pan pułkownik prosi pana komisarza do siebie.

— Zaraz będę u pana pułkownika — powie działy bezbarwnym głosem komisarz Gromel.

Lecz — prawdę mówiąc — nie pomyślał nawet o tym, co powiedział. Bowiem mózg jego owaładnięty został jedną jedyną ideą, ideą, za którą komisarz oddałby natychmiast całe swoje złoto, srebro i brylanty — gdyby je oczywiście posiadał. Idea ta narodziła się w tej, tak na pozór wypranej z wszelkiej ważności chwili, gdy rozlany wzrok komisarza spoczął na idącym ulicą małym, zielonym, niepozornym samochodzie. A przecież był to w tym momencie najpiękniejszy i najdroższy samochód świata!

Jezdnie i chodniki mokre, asfalt błyszczący od deszczu matowym, nudnym połyskiem, w powietrzu wilgotna, nieruchoma mgła. Wzorajszy wiatr ustał zupełnie, ociepiło się nawet trochę, ale nad stolicą wisi atmosfera bez nadziei, jesiennej szarzyzny. W atmosferze tej miasto stało się dziwnie jednolite — znikły różnice pomiędzy poszczególnymi dzielnicami dzielnic jakby utraciły swoją indywidualność na rzecz jednego, wspólnego obrazu, jednej wzroci: wielkie, pulsujące nieustannym oddechem siedlisko ludzkie, istne kamiennie mrówisko, przykryte nisko zwieszonym pułapem mrocznego, ołowianego nieba. W taki dzień jednokowo szaro i mglisto jest w Dzielnicy Południowej, gdzie rozstąpiły się pałace i wille ludzi bogatych, jak w Dzielnicy Wschodniej, rojowisku wielkiej nędzy. Tu i tam przechodnie wyglądają we mgłę niby z nagła materializujące się cienie, tu i tam klaksony samochodów ryczą a sygnały tramwajowe dzwonią jak na alarm: myślicie może, że to wojna, że syreny i gwizdki obwieszczają pojawienie się nad miastem wrogich samolotów? Nic podobnego — zapanowało już niemal o tych, tak przecież niedawnych czasach. Wszystkie dźwięki, wytwarzające ów cały alarmowy klangor, to odgłosy wojny innej, zgoła bezkrajowej: wojny ludzi z mgłą, wojny, która zmobilizowała wszystkich, znajdujących się na ulicy. Bez względu na „majątek, pieć, wiek i pochodzenie”. Dzielnicę miasta w czasie mgły, jakby zbliżyły się do siebie, zawarły ze sobą rozejm nawet przymierze — mgła jednocy wszystkich

Stolica nasza posiada cztery zasadnicze części, nazwane od stron świata Dzielnica Północna, Dzielnica Południowa, Dzielnica Zachodnia i Dzielnica Wschodnia. Dzielnicę północną od Południowej oddziela poprzeczna wień mostami rzeka, która, płynąc w wschodu na zachód przecina jednocześnie na pół dzielnice Zachodnią i Wschodnią. Dzielnica Wschodnia po obu stronach rzeki to ogromne centrum wielkomiejskiego Handlu i Pracy, a także — wielkomiejskiej Nędzy i wielkomiejskiego Występku. Są to istne labirynty ulic wąskich lecz ruchliwych jak piekło, ciemnych i brudnych, krętych, gdzie przechodnie tłoczą się na chodnikach podniecenie i gniewni, a w środku huczą tramwaje i autobusy, po brzegi wypełnione ludźmi o twarzach równie gniewnych i niecierpliwych, ludźmi wiecznie się spieszącymi, w których tętni nerwoży, ani na chwilę się nie uspukajający rytm tego kamiennego mrówiska o tyle mniej doskonałego i harmonijnego od królestwa prawdziwych mrówek. To dzielnica handlowa: brudne, bezstylowe domy obite aż do wysokości kilku nieraz piętér szyldami ogłoszeniami, reklamami — wszędzie litery, litery wielkie, małe, kolorowe, jaskrawe, czarne, białe, żółte, które krzyczą ponad rojącym się tłumem, krzyczą, choć nikt, zdawałoby się, w nieustannym, mechanicznym rozgwarze i jazgocie ulicy krzyku tego nie słyszy. Nikt tu nie patrzy w niebo, nieba nie widać z wąskich ulicznych gardzieli i wąwozów, przewiązanych u góry drutami przewodów tramwajowych najrozmaitszymi kablami i linami. Ulice te to jakby wielkie, podługne klatki, gdzie zamknięto nieprzeliczone tłumy dziwacznych opętanców, owaładniętych jedną jedyną, wszystko porażającą manią; opętaniem ich jest pęd naprzód, tempo, mechaniczna pogoda po prostych liniach — wszak wszystko tu jest kwadratowe lub prostokątne: wielkie, podługne, ciemne, pełne zakamarków, magazynów i kantorów podwórza, ruchliwsze nieraz niż same ulice i małe, ciasne, tak samo ciemne mieszkania w których spędza się tylko krótką, narwowa noc, aby znowu biec do sklepu, biura, banku, równie kwadratowego lub prostokątnego, równie pozbawionego jakiegokolwiek indywidualnego oblicza — bo oblicze ma ta dzielnica jako całość, lecz niezliczone elementy owej całości nieczym się od siebie nie różnią — tak jak i ludzie, rojący się po tutejszych chodnikach, jezdniach i podwórzach.

Obok Handlu zamieszkał Występek. Obok obłądnie ruchliwych i wrzaskliwych, długich jak gęsia szyja, czy jak ludzkie kieszki, ulic handlowych rozłożyły się milczące ponuro zamknięte w sobie trupy zaułki z małymi, przypominającymi sidła na wilki narożnymi

knajpkami. Tu panuje Zimowa, Spisek, Zemsta, Strach i Zbrodnia. Uliczki te zniżają się stopniowo, aby zniknąć wreszcie w burchach, brudnych fałach rzeki, obramowanych jakimś magazynami, tajemniczymi przystaniami i domkami piaskarzy czy rybaków. Policja wodna wyławia tu w tygodniu kilkunastu topielców bez twarzy i dokumentów — bezwładnie, gnijące już nieraz resztki tego, co tak niedawno jeszcze było człowiekiem, wiele miałyby do opowiedzenia, gdyby taka makabryczna rozmowa mogła w ogóle dojść do skutku, o tajemnicach przerażających, bezgwiezdnych nocy wielkomiejskich, kiedy ciężar ciemności przywala wszystko a niedocieczone ludzkie namietności materializują się nagle w obijającym się o nieczule mury kamienie przerażliwym, zwierzęcym ryku mordowanego człowieka i w nikłym, ale dotkliwym pluku zepchniętego do rzeki ciała. Cisza, która potem następuje, krzyczy z trwogi i dzwoni na alarm — ale ktoś z żyjących ten głos usłyszy — słyszą go tylko mroczne, nieruchome kamienie jak i całe miasto — niebios.

Handel i Występek gnieżdżą się w najbliższym centrum miasta położonej części Dzielnicy Wschodniej. Są one od strony zewnętrznej a więc od strony przedmieść, obramowane innym znowu królestwem: królestwem Pracy i królestwem Nędzy. Wielkie cielska gmachów fabrycznych wyrzucają w niebo kłęby czarnego dymu, który unosi się nad całą dzielnicą zasłaniając słońce. A dalej rozciągają się nieskończone, nieczym się od siebie nawzajem nie różniące ulice robotnicze. W pewnych tylko, określonych godzinach zapełniają się one tłumami ludzi bez twarzy — bądź podążających naprzód szybko i zdecydowanie, bądź też stąpających ramię przy ramieniu ciężkim, zmęczonym krokiem. W innych porach ulice te aż — do zmroku — nie są ludne: przed drewnianymi bramami, na chodnikach i zakurzonych brukach jezdni bawia się jedynie dzieci, zaś tu i ówdzie drepczą kobiety, dzwoniące w koszach jarzyny czy mięso — gdy ręce i nogi dzielnicy pracują w środku owych wielkich, ceglanych wielorybów, zwanych fabrykami, tu, na pustawach, szarych, zakurzonych ulicach, wewnątrz koślawych, drewnianych często domów drgają kieszki, jelita, pęcherze organizmu, zwanego środowiskiem Wielkomiejskiej Pracy. Zaś ta dzielnica graniczy z jeszcze jedną: z Ulicami Nędzy. Tutaj, w przeciwieństwie do dzielnic poprzednich, obraz życia ulicznego nie ulega zmianom, jest jednakowy, bez względu na porę dnia: tu ludzie nie pracują, jedynym ich zajęciem jest trwanie, oni żyją, jeszcze żyją. Walka z głodem odbywa się w milczeniu i skupieniu, jak cierpliwe misterium: czas płynie tu ciekliwie i rozciągliwie; żółtawe, woskowe, lśniące czasem od potu twarze (lecz nie jest to pot pracy — to pot powolnej, niewidocznej a już obecnej śmierci), oczy podkrążone, błyszczące, chore, zaropiałe; pokraczne, łachmaniaste, bezsilne postacie — oto mieszkańcy tych ulic.

Dzielnica Pracy ożywia się wieczorem: procesje robotnicze młodzieży posuwają się powoli w parnym zaduchu ulic, defilując przed współczesną Świątynią Nirwany — wielkim narożnym kinem. Dzielnica Nędzy natomiast zasypia wcześniej: ulice pustoszeją — panowanie nad nimi obejmują wielkie, wystraszone i nastrożone chude koty i ohydne, parszywe psy, które uparczywie węszą po rynsztokach za cymkolwiek — co podtrzymuje życie.

Tak więc Handel i Praca, Występek i Nędza ujęły się za ręce, tworząc razem to, co ogólnie i oficjalnie nosi tytuł Dzielnicy Wschodniej. Nie sądzicie czytelnicy, że mamy zamiar gnębić was równie rozwlekłymi opisaniami innych dzielnic naszego miasta. Nic podobnego: przypominajmy sobie tylko krótko, że Dzielnica Północna jest dzielnicą inteligencji, dzielnicą uniwersytecką, królestwem lekarzy i artystów, w Dzielnicy Zachodniej rezyduje Rząd, Prezydent, ministerstwa, policja i nieliczne urzędy, zaś Południe obsiadły pałace i wille ludzi zamożnych. Oto nasza stolica: jeśli Dzielnica Zachodnia jest jej sercem a Północna mózgiem, to dzielnicy Wschodniej przypadłaby rola żołądka i płuc. Bo jednak Praca i Handel a nie Nędza i Występek składają się na jej prawdziwe oblicze: dwie pierwsze to machina, wprawiająca w ruch organizm stolicy, dwie drugie — to odpadki paliwa, wyrzucone bocznym kanałem z paleniska — produkt intensywnego, nigdy nie ustającej przemiany materii i energii, przemiany, jaka dniem i nocą dokonywuje się w straszliwym organizmie milionowego miasta.

Jeśli zdecydowaliśmy się tutaj przerwać tok śledztwa, prowadzonego przez komisarza Gromela, aby opisać czytelnikom poczynny charakter Dzielnicy Wschodniej, postąpiliśmy tak z kilku powodów. Po pierwsze, nici zbrod-

ni, którą popełniono w Dzielnicy Północnej doprowadzą nas prędzej czy później do Dzielnicy Wschodniej: o nią tu chodzi, okólnie krają myśli i wierznięcia morderców profesora Galarda. Po drugie, w tej dzielnicy najczęściej ma zawsze do roboty policja — świadczy o tym choćby gęsta sieć komisaratów, posternuków i patroli — a wazakże opowieść niniejsza jest opowieścią policyjną. Po trzecie wreszcie wymagania stylu i formy nakazują nam jednak choć trochę podmalować tło, wydobyć nastroj — sama akcja nie wystarczy, muszą być także odpowiednie opisy. Dlatego, aby konwencji stało się zadość, po raz pierwszy, ale i ostatni w niniejszej historii pozwoliliśmy sobie przerwać na dłuższą walek akcji. Obiecujemy czytelnikom, że to się już nie powtórzy i wracamy teraz do dalszych, zadziwiających wydarzeń, które nastąpiły po zamordowaniu profesora Galarda oraz czarownic Luizy Lore.

Zaznaczyć warto, że zbrodnie te od poniedziałku z rana stały się przedmiotem rozmów całego miasta. Ale — dziwnym trafem — nie przedostała się do czytającej gazety publiczności wiadomość o wykradzeniu ciała profesora. Wydarzenia tego nie rozgłosiła ani prasa, ani plotka, ta ostatnia tak przecież wszechpotężna, przenikająca nawet przez mury, druty kolczaste i zaskaki. Tym razem — rzecz ciekawa — ani prasa ani plotka nie otrzymały wspaniałego żeru, w posłaci nie notowanego dotąd w kronikach policji śledczej faktu wykradzenia zwłok przez tajemniczych sprawców w parę godzin po morderstwie. Fakt ten pozostał nieznany nawet ludziom najbardziej zbliżonym do profesora Galarda. Jeśli chcemy się o tym przekonać, musimy opuścić Dzielnice Wschodnią i skierować się w stronę Dzielnicy Północnej. Najlepiej posłużmy nam do tego ulica i bulwar Wielkich Wodzów, jedna z najdłuższych arterii naszego miasta, która łączy Dzielnice Wschodnią z Dzielnica Zachodnią, biegnąc po drodze wzdłuż rzeki, stanowiącej południową granicę Dzielnicy Północnej. W pewnym jej, t. j. ulicy Wielkich Wodzów fragmente odgałęziają się od niej główne ulice Dzielnicy Północnej: jedną z nich jest Aleja Nauki, przy której stoi wielki, kamienny gmach Zakładu Chemii. W tym właśnie gmachu, na trzecim piętrze, obok dużej sali laboratoryjnej jest mały gabinet profesorski, gabinet, w którym odbywa się w tej chwili dramatyczna rozmowa między Karolem Hagewadem, kierownikiem laboratorium, starszym asystentem i zastępcą profesora Galarda a Alicją Dillon, asystentką laboratorium. Korzystając z praw autora i czytelnika spróbujmy nieopatrzenie wślizgnąć się do gabinetu i wysłuchać tej rozmowy: może rzuci nam ona nieco światła na tajemnicę podwójnej zbrodni w Dzielnicy Północnej.

VI.

— A więc nie domyśla się pani tego? — zapytał Karol Hagewand, pochylając się nieco w niewygodnym, drewnianym fotelu. Wielkie dłonie oparte miał na poręczach, oczy jego, odzwierciadlające w tej chwili silne napięcie wewnętrzne, utkwiły były wyczekująco w twarzy siedzącej naprzeciwko, po drugiej stronie biurka, Alicji Dillon.

Piękna z nich była para! Karol Hagewand mężczyzna wysokiego wzrostu i silnej, masywnej budowy, miał twarz zdobywcą i władczą, a zarazem mądrą. Z pod wysokiego, potężnie zarysowanego czoła patrzyły oczy zimne lecz głębokie, oczy koloru stali — uporczywie ich spojrzenie ciążyło, zda się, na rozmówcy, jak hipnotyczny wzrok węża, wzrok, który pozbawia woli i swobody działania napróżno opierającego się nieszczęsnego ptaszka — ofiarę. To człowiek silny, nieugięty, człowiek, który wie czego chce i umie do tego dążyć, — musiał sobie powiedzieć każdy, zetknąwszy się z nim oko w oko.

Alicja Dillon jednak zdawała się w tej chwili nie odczuwać zupełnie skoncentrowanej siły, promieniującej z oczu inżyniera Hagewanda i błędziła spokojnym wzrokiem po niewielu przedmiotach, znajdujących się na biurku. Powieki miała spuszczone, po ustach jej błakały się niktly, napót drwiący, napót gorzki uśmiezek. Cóż to za piękna kobieta! Wspaniałe, puszyste blond włosy okalały twarz o regularnych, zachwycających rysach; nie była to jednak uroda zmysłowa: uduchowienie, powaga i szlachetność zawierały się w czystej linii ust i w rozsądnym, może nieco chłodnym wyrazie piwnych oczu. Blondynka o ciemnych oczach, to najpiękniejsze pono z istniejących na świecie zestawień. W nieskazitelności swej szlachetnej urody była Alicja wymarzoną partnerką dla skoncentrowanej męskiej siły, uosobionej w sylwetce Karola Hagenwanda. (D. c. n.)

Janina Siwkowska

Obiadowe recenzje

Warszawa w R. P. 1847

Przecież jeśli humorysta Lipski JP. Barthold Senif podał propozycję „aby propozycją, obiady można tak krytykować jak dzieła teatralne, ponieważ za recenzje teatralne w Paryżu mają Recenzenci bilety freeowe, a zatem i na obiady mogłyby być takie bilety...” Jeśli tedy zagranicznych naszych sąsiadów — obiad u pana Griesa, — który to kuchmistrz nad kuchmistrza nieustannie przed Gośćmi „piękny repertuar potraw rozwija na swoim stole” — jeśli tedy Gości onych „przesolona zupa bulionowa zaczęła trochę nudzić, za to angielski rostbef zwrócił ogólną uwagę; nie był on romantycznym, ale czysto klasycznym, był sosisytm, ale przytem i kruchym, a całość iego w brunatnym sosie iakby w ramach osadzonej była. (Mizerja do niego mogłaby była lepiej wyglądać przy tak wielkim Artystycie. Szparagi były trochę za drewniane, od niejakiego czasu widzimy iakąś niechęć w tej młodzieży...”)

Jeśli tedy już Zachód taką wybredność i gust w kunszcie gastronomicznym okazuje — ach cóż by powiedzieć winna stolica nasza, której wyszło w Berlinie, a u nas nieroztropnie rozpowszechniane dziełko „Żelazny żołądek”, żadnego z żołądków Jej mieszańcom leczyć nie było przymuszono („ale oprócz tego żelazny żołądek, ach iakby on zdał się, aby wszystkie głupstwa iakie czasem dzieją się między ludźmi, strawić!”). Chwała odwieczna a nieustająca kuchmistrzów polskich nigdy jeszcze planu nieudolności się nie pokryła (choć przecie słoncu samemu czarne petocie — niby ospowe — obcymi nie są), a „Racahout des Arabes” (konserwator żołądka) na sposób pana Genot sporządzony i sprzedawany w flaszkach, zawierających funt 1 za zł 8 w Aptekach Knolla za Żelazną Bramą i Pawłowskiemu na Nowym Mieście Nr 331, w Handlu zaś Letrona przy ulicy Miodowej, pod filarami, nawet po zł 10 — osadem być może tylko onym wyznawcom starożytnego Lukulla, co to przed doktorem nieustannie się żala, że „ciagle mają pieczenie w gardle, a kurcze w żołądku”. Wyszło też w tych dniach z pod prasy dziełko gastronomiczne p.t. „Nadworny Kuchmistrz Polski” (exemplarz za pomierną cenę zł 6 gr 20) wyższość niepomierną okazał nad wszystkimi dotychczasowymi, a po największej części jako owa „Kucharka Wiedeńska”, z niemieckiego języka tłumaczonymi, nie zaspakającymi smaku polskiego, tedy nieodpowiadającymi nigdy swo-

jemu celowi, książkami kucharskimi, skarby gastronomiczne w „Nadwornym Kucharzu Polskim” zawarte, rękopisem oryginalnym, owocem pracy jednego ze smakoszów polskich będącego, drukowane — stawiają pomienione dzieło na najwyższym szczeblu uskutecznianych w tym kunszcie dzieł i zyskują mu zaszczytne miano „toleranta najuniwersalniejszych smaków”.

O, nich się nie tylko w Lipsku, ale i po całym świecie obnosi wielki pan Scholze ze swoją „świeżą wołowomordową sałatą z sosem remoladowym” („prosimy wszystkich Botaników o rozwiazanie tej Zagadki Sałatowej”). „Tysięczne natchnienia” w faszerunkach prosięcych, w zapach grochowych z wyciną, zrazach z obwarzanka, w flakach z pieca i zwyczajnych, o których to nawet na teatrze Gawełek, w ulubionej przez Warszawian krotoczwili „Kto wie na co się to przyda”, śpiewa ów tyle ulubiony i na żądanie paradyżowej publiczności powtarzany kuplet:

„Marysia i srebrna sala,
A przytem wyborne flaki etc.”

A że już o flakach — to niech sam p. Franciszek Adamski, smakosz nad smakosze, zaświadczy! Bo też pochwała flaków przez tego rymotwora — amatora, a bez uczynienia mu obrazu razem i wizytatora co większych traktierni warszawskich, uskutecznił — wnet obliczła całe nasze miasto — a na Senatorską ulicę to konkurs osób przysposobiła niewiele co mniejszy, jak na Bielańską promenadę, lub śródogrodziowy Bał Rzeźniczy w Wilanowie:

„Flaki! flaki! dobre flaki,
Ten przysmak nie lada iaki.
Lubownikom dobrze znany,
Przez post nie był używany,
A że post ten już przeminał,
Alleluja wszystko zwinął,
Więc we Czwartki i Niedziele,
W tydzień razy dwa, nie wiele.
Są one zawsze co chwiałim,
U Guzowskich pod Walhallim.
Przy Senatorskiej ulicy. —
Smacznych potraw Lubownicy,
Amatorzy! tam ie macie,
Przy bardzo miernej zapłacie.”

A jeszcze ci i flaki po gr. 12 pod Nr. 625 przy ulicy Koźiej, obok poczty, gdzie nie rzadko młódz cyganeryjna artystowska bebecy bydlące bebecem własnym przydaje, a nieużytki, jako to puste miski i talerze z okna na bruk ku ucieście gawiedzi

a troszce gospodyn wywała. A przoduje to już pan Filleborn.

Tysięczne tedy natchnienia w specałach warszawskich skrywane, przez organ trawienia ku umysłowi i sercu pilnie jak to widać nadążają, krajnie immaginacji skutecznie posilając, a tym samym opiekuna biedsiad, bożka Komusa, pospołu już i niedledwie w koleżeństwie na stołcu artystowskim wraz z Apollinem bogiem zasadzając, na co rzeczony tu bóg sprzeciwu pewno nie czyni, radby i częściej za plecami Komusa się skrywając — dać pomienionemu do potrzymywania złocistą lirę wzamian za frykasy z kwicozłów (codziennie świeży transport ze Skierniewic) i za nóżki w klarze z Handlu Małewskiego przy ulicy Bednarskiej.

Hejże, recenzje dawać z obiadow warszawskich! Ani JPanna Rivoli przywoływana po 6 kroć w czasie „Współki z Szatanem”, ani w „Zemście za mur” JPan Królikowski tyle chwaly nie doznają, co obiady w traktierni JP. Boczkowskiego przy ulicy Długiej pod Nr 550, gdzie zupa selerowa, i poledwica z sardelami i gdzie oprócz zrazów nelsonskich i garnuszkowych — jeszcze i wiadomości, że do Oranu przybyli już posłowie od Abdelkadera, że w pielgrzymce Arabów do Mekki nie było przecie ani jednego przypadku Cholery; że od niejakiego czasu pomnożyli się na Śląsku Cyganie, że Wenzwiusz wyrzucił znowu ogromną masę lawy, że pan Munioz Xzę Rianares, miał zapłacić za francuski tytuł Xcia Montmorot 18.000 fr., że Kassa Irujo, Xzę Sotomayor, uważany za kreaturę Królowej Krystyny, chciał utworzyć Ministerstwo, przecie opozycja wczas już wystąpiła; a przecie jeszcze i wieści generalnie ważnych o sądzeniu Mierosławskiego i towarzyszyów traktujących — a to nie zabraknie.

A traktiernia w Hotelu Drezeńskim przy ulicy Długiej 556, gdzie „kucharz, który nie zażywa tabaki”, gdzie na stołach — od Ulricha, ogrodnika z ulicy Ciepłej — nawet zimą płody Flory czy uradują i gdzie za abonament — obiad miesięczny z 5-ciu potraw „na jedną osobę” wyniesie wraz z porcją piwa od Habersbuscha, Schielego i Klawego — zł 48; gdzie wreszcie mostek w glasie i pieczeń w marmuladzie — prawdziwie, że zasługują na względy Łaskawej Publiczności.

A obiady z 5 potraw za pomierną cenę zł. 1 gr. 20 przy rychłej usłu-

dze u JP. Adama Faliszewskiego, w domu Wielmożnego Weichera, pod Nr 280, na rogu ulic Freta i Długiej, przed którą to Gospodą — faetonów, koczobryków i landar jak mało gdzie ujrzyysz.

A łazanki z pieca w Handlu Win i korzeni u J. Pana Kołdrasińskiego, przy ul. Miodowej, wprost Sądu Apellacyjnego, gdzie przecie nie rzadko Komus z Bachusem za szyć się oblapia, z którego to kumoterstwa — na rumiane piersi kwicozłów i pieczeń cielecą z kawiorami — spływa błogosławiony deszcz win Ermeleckich i miodku od Winawera.

A Zakład pod znakiem JEDZENIA KAŻDEGO CZASU przy ulicy Nowy Świat w domu Nr 1285 (wprost bramy), gdzie obecnie przechodnik dogodny urządzony został. A stokwisze w Handlu Ridla przy ul. Nowo-Senatorskiej? A pierogi z lina i kryski w dopiero co otworzonej traktierni Kadecza, w domu Nr 497, przy ulicy Senatorskiej i Miodowej: A kotlety w papilotach, pierogi Dominikańskie, karp po czesku, szczupak po Radziwiłłowsku, czy po wojskowemu i okoń po Holendersku na maśle lub oliwie u JP. Śniatyńskiego przy ul. Miodowej, w pałacu Kochanowskiego, gdzie z łatwością przysiąść się można do Wista, czy Taroka.

A kapłony „ciecierze”, głuszcze astrachańskie, pieczenia pani Karczewskiej, która po swej krewniaczce, Poziomkiewiczowej, „w odnowionym lokalu przy ul. Wierzbowej, przeciw Teatru Rozmaitości, wznawia zadowolenie Znaczców i Lubowników przysmaku tego rodzaju” — o godz. 10-ej przed północą — do „Wielkim Panie świeżej daty”, czy też do „Pannie Meżatce” — tłumy teatralnej Publiczności i siebie wetując, a nawet JPana Bosko, po jego magicznych prezentacjach w Teatrze Wielkim — gościć p. Karczewską u siebie zaszczytu doznają.

A pieczyste trojaki u Rasza w Hotelu Rzymkim, gdzie galonady Rajczaka i Mazury Sturma rozerwać chcą pasiasie, kanarkowe z ultramaryna, ściany czterech pomieszczeń i salki z bufetem?... A nasztet z jarczabków u JPana Grobelni przy ulicy Krak.-Przedm. Nr 388 w pałacu tak nazwanym Tarnowskich, gdzie jeszcze i Płci Pięknej konkurs niezgorszy, tedy i pachnidel wybór nowych, jako to mieszanie wervein d'Italie z wonią selerów i Lewandowej Wody z odorem Kapuśniaku i

gdzie w pobliskości, bo przy Trębackiej Nro 630, u Wielmożnej Radzymskiej, stała gra pulowa w bilard, a ta z należytem regulaminem. A jeszcze i lokal gastronomiczny przy ul. Trębackiej, gdzie pieczeń à la Donzuan cieleca z kremą i gdzie nie brak braci aktorskiej, która co niedziele, wtorki i czwartki na ten specał po wyjściu z teatru pośpiesza i żołądki krzepi, i gdzie lubownikom Piwa Hykla nie zbrakło jeszcze nigdy pomienionego transportowego trunku.

A Bogu najwyższemu chwala — nazw zagranicznych zalew, dziełom naszym rodzimym, gastronomicznym uwłaczających — z rokiem każdym się umniejsza. Przecie jeszcze nie tak dawno będzie, jak zjechał zryść synal na praktykę do Warszawy, a nieobznajmiony dobrze z językiem francuskim i technicznymi nazwiskami wysokiej gastronomii — tak ojcu opisał obiad, na który do Marego został był zaproszony; Miłośny do wyboru dwie zupy, Juliana i Garnek przy ogniu, a także Wetu w stanie natury, dalej Kotlety skakające w truflach, Pióro z kartofli, Siatkę z sarny i nakoniec jeszcze Karolinę ledowatą. Tak ci to wyborze z francuskiego przetłumaczył Julienne i pot au feu, bouef au naturel, cotelettes sautées aux truffes, purée des pomems — de — terre, filet de chevreuil i Charlotte glacée. Matka, jak ten list przeczytała spazmodycznie kłać poczęła, myśląc, że syn jej na Kanniballa się wykierował, kiedy je zupę z Julianek i jakies Karolinki zlodowaciła. Ojciec zaś, chcąc syna na drogę rozumu przyprowadzić, wystosował list, donosząc, że dopiero co miał na obiad barszcz au fibia, co miało znaczyć, że jadł barszcz z rura vel piszczelem, a dalej greffes au gruau sarrazin — tedy zrazy z kaszą tatarczaną, dalej lievre à l'irrigation — tedy zająca z podlewą, no i... des Boutons — czyli pączki, nasz najmilszy frykasy karnawałowy.

A tak ci w Warszawie — może właśnie i pierwszej w Europie — freeiowe obiady przypadają, boć już po tutejszych poniektórych kawiarniach naszych — gratis placiki podczas Świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy, od niedawnego czasu nowym zwyczajem gościnności są Publiczności Warszawskiej do kawy używane.

A tu podziękowania najpierwsze i słowa zawdzięczenia najszczerze JPani Rozalii Euol z Nowego-Swiatu pod Nr. 1256 za baby podolskie. A nie od rzeczy będzie wspominek uczynić, że przecie starsza Publiczność Warszawska pamięta jeszcze powszechnie znaną nigdyś w naszej Stolicy panią Goździewską, która to za patronkę freeiowych, kawiarnianych częstunków winna być po wszystkie czasy w Warszawie uważaną i godnie nasładowaną. Spoczywaj w Pokoju szacowny Ciemiu!...

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwą miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

DO RED. „DZIS I JUTRO”

„Wytczne”, zamieszczone w ostatnim numerze „Dziś i Jutro”, zawierają m. in. takie zdanie: „Mamy już literaturę powojenną z jej pozycjami ezolowymi: Gałubiewem, Iwaskiewiczem, Rembekiem, Żukrowskim, Grabskim, Małewską, Zawieyskim”.

Sądze, że nikt z Czytelników Pańskiego pisma nie będzie miał wątpliwości, że chochlik drukarski po raz pierwszy urwał się na „Dziś i Jutro” i ze znakomitego autora „Bolesława Chrobrego” Gałubiewa uczynił bliżej nam nieznanego „Gałubiewa”. Jednak sprawa następna nie jest już chyba

mo nigdy jako taki się nie deklarował, a cała jego, wspaniała zresztą twórczość, nie da się podciągnąć pod żaden ideologiczny strychulec. Ale nie. Autor nie zaznacza, że ma na myśli katolików. Mówi o czołowych pozycjach literatury powojennej w ogóle. Dlaczego w takim razie zapomina o Andrzejewskim, Brezie, Dąbrowskiej, Nałkowskiej, Przybosiu, Rudnickim, i wielu, wielu innych. Czy dlatego, że nie są spirytualistami?

Nik Rostworowski

DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”

W numerze 40 (97) czasopisma w dziale „Tydzień Kulturalny” z przyjemnością odczytałem informację o przekładach z czeskiego. Żadnego z imion wymienionych dzieł nie znałem dotąd, ale obecnie postaram się je poznać, wobec ich spolszczenia. Natomiast dobrze znam dzieło Ignacego Hermana pt. „Ojciec Kondelik i narzeczony Wejwara” (2 tomy) oraz dalszy ciąg tegoż dzieła pt. „Jeść Kondelik i zięć Wejwara”. Pierwsze dzieło opisuje poznanie się Wejwary z Pępcią Kondelikówną, konkurs i pobranie się, a drugie — początki pożycia małżeńskiego, pierwszeństwo znośności zyciowe i „bajeczne” skomplikowanie z teściami. Są humorys-

czne powieści i w literaturze polskiej, ale książki Wilkońskiego, Jordana i Junoszy trać „myszką”. Na ogół jednak literatura polska nader mało posiada dzieł wybitnie i szczerze humorystycznych. Np. obecny humorystyczny styl Kornela Makuszyńskiego licznym czytelnikom nie przypada do gustu.

Dzieła I. Hermana (obydwa) uważam za najbardziej humorystyczną książkę, ze wszystkich jakże czytałem w swoim życiu. Przeczytałem ją najpierw sam, a następnie czytałem na głos w gronie rodziny i najbliższych znajomych. Jak to mówią „pokładali się” od śmiechu, szczególnie w momentach opisywanych tragicomicznych sytuacji. Być może że ktoś może postawić zarzut trawestowania i wyśmiewania życia drobnomieszczaństwa czeskiego, ale mnie się zdaje, że takie i podobne typy drobnomieszczańskie posiada i Polska, i Francja i wszystkie inne kraje.

I o ile Sz. Redakcja uznałaby za wskazane zamieścić niniejsze w swoim poczynym tygodniku, to powoliłbym sobie załączyć wyrazy gorącej zachęty dla katowickiego A.W.L.R.-u o jak najszybsze wydanie powtórnej edycji dzieł I. Hermana. I myślę, że humorystycznie przedstawione przez autora drobnomieszczaństwo czeskie wykazuje jednak zarażeniem i tyle zalet serca oraz uczuć dobrych, iż nie powinno być uznane za złośliwą satyrę środowiska pobra-

tymczego narodu. W dzisiejszym okresie tak wybitnie humorystyczna powieść, jak jestem tego pewny, będzie chętnie czytana, usilnie zakupywana i mile popierana nie tylko przez poszczególnych czytelników, ale i przez kierownictwa i zarządy bibliotek.

WYJAŚNIENIE

Umieszczając w Nr 40 naszego tygodnika „Modlitwę przed bitwą”, zaczerpniętą z modlitewnika p. t. „W Służbie Chrystusa i Ojczyzny” wysunęliśmy sugestję, że autorem jej jest ks. Tadeusz Jachimowski. Tak jednak nie jest. W modlitewniku są wprawdzie dwie modlitwy tego Autora (na str. 72 i 106), jednak „Modlitwę przed bitwą” napisał ks. mgr. Stanisław Wilkowski, kapelan W. P., który ułożył cały modlitewnik.

REDAKCJA

PAMIĘTAJ O ODBUDOWIE
OPACTWA TYNIECKIEGO

Ofiary można wpłacać na konto P.K.O. — Kraków — IV—477 (Opactwo O. O. Benedyktynów) lub też w Administracji „Tygodnika Powszechnego”.

Redagują: Jan Dobraczyński i Bolesław Piasecki.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr I-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.

Druk. Skolimowska 5.

B-37764